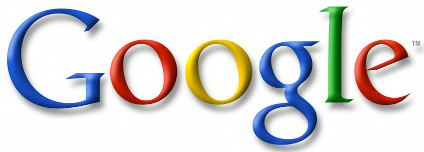
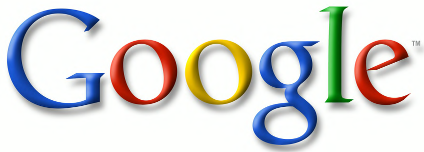




Biblioteka pisarzy polskich




UNIVERSITY


UNIVERSITY OF MICHIGA
3 9015 03478

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XLII.

POEZJE

KORNELA UJEJSKIEGO.

NOWE WYDANIE Z WYBORU AUTORA.

TOM PIERWSZY.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1866.

CO MOGŁEM.

ZMARŁYM ZA OJCZYZNĘ,

ŻYJĄCYM DLA NIEJ,

CO JEST Z BOLU I Z WIARY POLSKIEJ

W MOICH POEZJACH,

POŚWIĘCAM.

SPIS RZECZY.

SKARGI JEREMIEGO.

DROBNE POEMATA I URYWKI.

MELODYE BIBLIJNE.

SKARGI JEREMIEGO.

(r. 1846.)

9. .... widziałem pod ołtarzem dusze pobitych dla słowa
Bożego i dla świadectwa, które o niem mieli.

10. I wołali głosem wielkim, mówiąc: Czemuż wżdy miły Panie,
któryś jest święty a prawdziwy, nie sądzisz a nie pomścisz
się krwi naszej nad temi, którzy mieszkają na ziemi?

11. A dano z nich każdemu po szacie białej i powiedziano im,
aby jeszcze w spokoju byli do czasu małego, ażby się
dopełnił poczet spółsług i braci ich, którzy mają być
pobici jako i oni.

Apokalipsis Roz. VII.

SŁOWO JEREMIEGO.

Jeremi sługa Ludu, syn ziemi natchniony,
Wyleciał nad obłoki jako ptak zraniony,
I patrzał w swoją matkę co pod jego okiem
Płonęła, nito lampa przykryta obłokiem,
I dumał nad jej życiem tak bladem i niskiem.
Aż oto światłość owa czerwieńszym połyskiem
Buchnęła, i gwar dziki powiał od niej nagle...
A więc zwinął Jeremi białych skrzydeł żagle
I spuścił się z błękitu.......

Patrzę.... moją ziemię
Krew zlała!... to wróg moje pomordował plemię.

Jeremi sługa Ludu, syn ziemi natchniony,
Co wzleciał nad obłoki jako ptak zraniony,
Uczuł jak krew płynęła z jego dawnej rany,
Bo z braćmi pobitemi był sercem związany,
A więc upadł z obłoków — bo swej krwi kropelkę
Chciał dorzucić w czerwone to jezioro wielkie...

Bo zapragnął na biednej matki swojej łonie
W sen pieśni ukołysać rozmiotane skronie.

Na ziemi jego Ojców biły łuny krwawe,
Krzyk rozpaczy przedzierał się przez śmiech i wrzawę;
Pośród ogniów, szatana przemykały posły
I worki z srebrnikami dla Judaszów niosły!
A za niemi dzicz ślepa z wyciągniętym nożem
Szła, jak plaga strącona karaniem nie Bożem:
Gdzie przeszła zapadały domy — groby rosły!

Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni,
I mniemał że miecz dzierży archanielski w dłoni;
I okiem iskier pełnem spojrzał po narodzie,
I mniemał że w nim duszę odbije jak w wodzie.
A przy drogach jak stare pochylone słupy
Sterczeli ludzie — spojrzał im w twarz — żywe trupy!
Bo wszyscy skamienieli, nikt bolem nie władał:
Kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał!
I widząc to Jeremi spłonął strasznym gniewem,
I ze snu chciał ich zbudzić brzękiem, słowem, śpiewem;
Więc na górę z rumowisk podniósł się po zgliszczach,
I mieczem bijąc w lutnię ćwiczoną na mistrzach,
Łunami obleczony i dymem obwiany,
Uderzył w hymn jak jego serce potargany.

PIEŚŃ ZEMSTY.

Razem głosy, dłonie razem
A nie próżne dłonie;
A ty zahucz nam na ucztę
Sycylijski dzwonie!

Już od dawna chytry wróg
Krwią frymarczy Laszą,
Naszą krzywdę święcąc Bóg,
Święci zemstę naszą.
Póki starczy w żyłach krwi, póki w piersiach tchu:
Zemsta mu!

Pan miłuje zapał siły,
Nie bezmocy trwogę;
On rzekł: «Kto sobie pomaga,
«Temu dopomogę.»
Wżdy z pod stopy lichy płaz
Na wolność się pręży,
Mamyż leżyć jako głaz
Gdy nas wróg ciemięży?
Hej! olbrzymów dawna krwi obudź nas ze snu:
Zemsta mu!

Wróg, podobny do onego
Zdeptanego węża,
Jednych kusi, drugich truje
A wszystkich rozprzęża.
Póty jemu w świecie stać,
Póki mętne matnie;
A więc on na rodną brać
Zbroił dłonie bratnie!?
Za tysiące spadłych głów na katowskim pniu
Zemsta mu!

I wróg jak dziki satrapa
Hańbi nasze córki,
I przy pieśni niewolników
Szare kręci sznurki;

Potem w ziemię wbija słup,
  Porywa nam syna
I na czarnych ptaków łup
  Na sznurku upina.....
Więc za każdą taką nić skrwawionego lnu:
  Zemsta mu!

Słowo święte, słowo wiary
  Wróg oddechem ziębi,
A więc pieśń o zemście naszej
  Skryjmy w serca głębi:
A tam tajnie niechaj w niém
  Jak wulkan się chowa,
(Tak w pieczarach dawny Rzym
  Skrywał prawdy słowa),
Aż wyleci kiedyś w świat nakszałt pieśni chrztu:
  Zemsta mu!

A Ty Panie! co w Swym ręku
  Ważysz nasze losy,
Boże wielki! dla tej pieśni
  Otwórz Swe niebiosy!
A gdy przyjdzie ów dzień nasz,
  Ów dzień upragniony,
Ty aniołom swoim każ
  W cztery świata strony
Na miedzianych trąbach grzmić hasłem w onym dniu:
  Zemsta mu! zemsta mu! zemsta mu!

I odśpiewał Jeremi tę pieśń rwiącą szałem,
I wychylił się za nią duszą, sercem całem,
Drgnął naród! — lecz za chwilę ściągnięty łańcuchem
Znowu opadł — bo Bożym nie odetchnął duchem,

I nie w Bogu, lecz w zemście ze snu się obudził.
A Jeremi gdy poznał, że swe skrzydła zbrudził,
Za śladem skruszonego króla i proroka
Chciał zapłakać — i ręką gdy sięgnął do oka,
To zamiast łzy, krew sępia spłynęła mu z powiek:
I poznał że u Boga niżej stał — niż człowiek!
A więc czołem uderzył, jak syn się rozżalił
I Panu na ofiarę całą duszę palił,
I przed progiem kościoła długo pokutował;
Aż w końcu Pan w litości język mu rozkował,
Ażeby modląc Jego — imię Jego chwalił.

O mój Ludu! krwią moją są te pieśni moje!
Jam je jak w arkę świętą złożył w ręce twoje;
Niechaj gra w twych natchnieniach, niech w twych żyłach płynie,
Niech wrogom urągając w tobie nie zaginie,
A innego pręgierza nie trzeba dla wroga.....
Dla szatana najsroższą karą — «CHWAŁA BOGA!»

NOC NATCHNIENIA.

MODLITWA WSTĘPNA.

Poglądam w niebo — a niebo ciche,
Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,
Ona, co we dnie miota się w pychę,
Ona, co we dnie broczy się w krwi.
A teraz księżyc srebrną pogodą
Obrylantował rosisty wrzos,
I stoją senne wierzby nad wodą,
A wiatr leciuchny muska im włos.
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — mój Boże!...

Wzlatuję w górę, między obłoki,
Z jaśni błękitu pozieram w dół;
Widzicie! oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały i sól i miód,
Jak siwy gazda z otwartem sercem,
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód,
Puharem stoi jedno — drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

A na tej ziemi Lud się położył
  Lew — co przed światem straż trzymał wciąż,
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,
  Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego jako stal twardy
  I w słońcu wiary błyskał jak stal,
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy
  Rozrastał w sławie — toż szumem fal
Klaskało jemu jedno, drugie morze...
  Mój Boże — mój Boże!...

A oto patrzcie — tę ziemię błogą
  Zbójca-grabieżnik naszedł — nie gość,
Nasze świątnice niszczył pożogą,
  Naszej przeszłości wyrządzał złość.
A oto patrzcie — gdy krusząc pęta,
  Z ciężkiej niemocy powstąwał lew,
To chytry tygrys podmówił lwięta,
  By wytoczyły ojcowską krew.
I krew płynęła w jedno — w drugie morze...
  Mój Boże — mój Boże!...

I krew spłynęła — i znów ni śladu
  Po strasznej męce, po strasznej łzie;
A noc tak cicha — liść winogradu
  Po mojem oknie wiotko się pnie,
I białe brzozy tam stoją w rzędzie,
  Drzemiące głowy ku ziemi gną,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
  O gwiazdach spadłych na wody dno.
Wonieje ziemia i płoną zorze!....
  Mój Boże — mój Boże!...

I.

OJCZE NASZ.

Na gwiazdach oparty, z za obsłon błękitu
O Panie! przeglądnij nas okiem,
Patrz! ile tu śmiechu, zwątpienia i zgrzytu
Pomiata cierpieniem głębokiem!
Jak życie Twych ludów opaczną szło drogą
Na uździe ciemiężców, pod biczem!
To ziemię zhańbioną — w otchłanie trąć nogą!
Nie umie być wolną — niech będzie znów niczem!
O zniszcz nas lub podnieś! wołamy do Ciebie,
«Ojcze nasz, któryś jest w Niebie!»

Niech światło Twej łaski ród wzniesie zdeptany,
Jak księżyc co morze podnosi,
Z ołtarzów i z tronów strąciwszy bałwany,
Niech Ciebie za Pana ogłosi;
A ludy gdy znamion pozbędą się pychy
Za Tobą polecą jak roje,
Miodowe zapasy gromadząc w kielichy....
«Święć się Imię Twoje!»

Niech ludy, co w wiecznym trapiły się boju,
  Odetchną w braterstwie i zgodzie;
Niech rosną w tak zgodnej równości, w pokoju,
  Jak rosną szuwary na wodzie;
Niech miłość i wolność opaszą tę ziemię,
  Jak wiecznie zielone powoje;
Niech jeden Bóg będzie — cel jeden — i plemię...
    «*Przyjdź Królestwo Twoje!*»

O, wtenczas to, wtenczas żyć byłoby warto
  Swobodnym pod Twoją opieką!
Dziś, kiedy nam przyszłość niewolą zaparto,
  Napróżno bijemy o wieko;
Dziś naszej pokory rozkrusza się zbroja,
  Dziś słowy jąkamy cichszemi:
    «*Bądź wola Twoja
    Jak w niebie tak i na ziemi!*»

To zeszlij o Panie! nam Swoich proroków,
  Co w wielkiem zwątpieniu człowieczem
Rzucają pociechę jak mannę z obłoków,
  A słowem wojują jak mieczem!
I daj im stal w piersi, grom w głosie, skrę w oku,
  A kieruj ich okiem i głosem;
Na Pańskiej biesiadzie umieść ich przy boku,
  Niech pierś Twą obwiną swym włosem,
I nasyć nas wszystkich pokarmem aniołów —
  A w gniazda hyeny i rysia
Z odwagą pójdziemy wstawszy od Twych stołów....
    «*Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.*»

To wytęp tych czarnych szatańskich handlarzy
  Co kupczą głowami swych braci,

Za które im tyran uśmiechem na twarzy,
  Srebrnikiem lub blaszką zapłaci.
To wytęp ich Panie! bo ręka człowieka
  Na karę tak wielką za miękka,
I od nich jakoby od trądu ucieka
  I skalać dotknięciem się lęka.
A nikt ich nie karci, nikt Panie! prócz śliny
  Wyplutej na czoła tym zdrajcom —
    «I odpuść nam nasze winy
    «Jako my odpuszczamy naszym winowajcom.»

Wielbiony niech będzie, kto tyle ma męztwa,
  Że zamiast zasłonić się zbrodnią,
Sam siebie rozpina na krzyżu męczeństwa,
  Sam stos swój zapala pochodnią!
To dodaj nam siły, bo w trudnej tej walce
  Nieprawi przewagą się szczycą,
Nad niemi potęga, znaczenie — i chwalce
  Wzlatują jak sępy nad lwicą.
A wiernym w ślad idzie ubóstwo, strapienie
  I praca dla chleba dziennego —
    «I nie wodź nas na pokuszenie
    «Ale nas zbaw ode złego»

AMEN.

II.

SMUTNO NAM BOŻE!

Od Twego ludu, co w mękach umiera,
Ostatnia może dochodzi Cię skarga,
Bo nas już robak toczy i pożera
I serce targa;
Bo tylko próchno świeci w naszej korze....
Smutno nam Boże!

Choć nas Twój palec ostrzega strażniczy,
Dzieci-sieroty błądzimy śród grzechów,
Ależ my Panie! wypili goryczy
Krocie kielichów,
Ależ my Panie! wyleli krwi morze....
Smutno nam Boże!

Na naszych braci palące się stosy,
Na naszych synów pragnących na palu,
Gromy dorzucasz.... miast chłodu i rosy!
Och, toż my w żalu

Wołamy gardłem zakutem w obrożę....
Smutno nam Boże!

Pełni jesteśmy płaczu i żałoby
Że domy nasze wróg kiedyś posiędzie,
I znieważając wodzów naszych groby
Plwać na nie będzie;
Że nasze kości po świecie rozorze....
Smutno nam Boże!

Że dotąd dębom skołysanym nocą
Ojczyste słowa szeleszczą nad głową,
Że w całej ziemi jaskółki świegocą
Rodzinną mową,
A wielu synów pogardza nią może?...
Smutno nam Boże!

Że wszelkie ptactwo co w obcy kraj leci,
Wiosną, łańcuchem pieśń powrotu nuci,
A z naszych braci pędzonych w zamieci
Żaden nie wróci!
Ciałami tylko wytyczą bezdroże....
Smutno nam Boże!

Że wróg w lichwiarskie porwał nas objęcie:
Łzami — perłami naszemi frymarczy,
A my bezsilni! — i znać już pęknięcie
Na naszej tarczy;
Że wrogów na niej nie kruszą się noże....
Smutno nam Boże!

I już więc nigdy, Panie, nie pocieszysz
Lud twój pokutny? — więdniemy jak liście
Pod Twojem okiem, a Ty nie przyśpieszysz
Zbawienia przyjście?!
Toż choć przed Tobą klękamy w pokorze....
Smutno nam Boże!

III.

ELI, ELI, LAMA SABACHTANI.

O Panie, Panie, czemuś nas opuścił!
Gwiazdy nad nami zmgliły się żałobą,
Czemuż Ty Panie, naszych łez nie uczcił
Gdyśmy płakali przed Tobą?...

Onego czasu było orle gniazdo,
Gniazdo zapaśne, szerokie, a całe,
Orłowie z niego swą podniebną jazdą
Rozgłaszali Pańską chwałę.

Orłowie, skrzydła łamiąc w zawierusze,
Padli nieżywi na skały dalekie,
Czemużeś, Panie, ich dzieci bezpusze
Trzem wężom oddał w opiekę?

Orlęta skrzydeł nie mogą rozwinąć
Karmione śliną i niemocy jadem;
Lepiej im było wraz z ojcami zginąć
Niż w jednem gnieździe żyć z gadem!

Żałobni Panie, żałobni my bardzo,
Bo duchy ojców gdy lecą obłokiem,
To na swe syny, co ich lotem gardzą,
Ponurem patrzają okiem.

Korni jesteśmy, choć żywot nasz lichy
W jarzmie i w hańbie wleczemy powoli;
Wszak łatwiej zniesiesz w człowieku grzech pychy,
Niźli pokorę — niewoli!

U obcych ludów stoim w poniewierce;
Ci mimo idąc, głowami kiwają,
I zimne dłonie kładą nam na serce,
Oni, co serca nie mają!

Inni nas cieszą lub płaczą nad nami,
Jak owe słabe niewiasty Syonu....
Oni w poddaństwie hodowani sami,
Odstępcy Twego zakonu!

I mniej cierpiemy przykuci do krzyża,
Naszych odwiecznych nieprzyjaciół złością,
Niż kiedy naszym boleściom ubliża
Niewierny, kłamną litością.

O! jakże cierpkie są Panie te słowa,
Lecz ból niezmierny pierś naszą rozrywa,
O, Panie! dziecko gdy w grób matkę chowa,
To płaczem ryczy — nie śpiéwa!

Więc Ty, o Panie! opuść ku nam ręce,
Podnieś nas, zanim rozpacz nas ogarnie,
Bo szkoda Panie, áby w strasznej męce
Twój naród zaginął marnie.

I daj nam siłę, by za dawne grzechy
My aż do końca wytrwali w pokucie;
Bo, gdy dla siebie nie widzi pociechy,
Trętwieje miłość i czucie.

IV.

SUPLIKACYE.

«Święty Boże, Święty mocny,
«Święty nieśmiertelny —
«Zmiłuj się nad nami!

I ogarnął postrach nocny,
Twój Lud niegdyś dzielny —
Zmiłuj się nad nami!..

Jako kłosy wstajem z bolem,
Zgłuszeni kąkolem —
Zmiłuj się nad nami!..

«Od powietrza, głodu,
«Ognia i niewoli —
«Wybaw nas Panie!

Od wrażego rodu
Pastwy i swawoli —
Wybaw nas Panie!

Od bratniej niezgody,
Przy czerpaniu wody —
Wybaw nas Panie!

«*Od zgonu nagłego,*
«*Bez skruchy pacierza* —
«*Zachowaj nas Panie!*

I od zelżywego
Z wrogami przymierza —
Zachowaj nas Panie!

Od pokus do grzechu,
Bluźnierczego śmiechu —
Zachowaj nas Panie!

«*My grzeszni Ciebie*
«*Boga błagamy* —
«*Wysłuchaj nas Panie!*

Przez Ojoów w Niebie
Bez grzesznej plamy —
Wysłuchaj nas Panie!

Przez pełnię czaszy
Łez i krwi naszej —
Wysłuchaj nas Panie!

V.

DO BOGARODZICY.

1.

Bogarodzico, Dziewico,
Usłuchaj głos człowieczy:
To wielkich bolów głos.
Nas siedem krwawi mieczy,
Potrójny gniecie grób....
Bogarodzico!
Jak wichrem zgięty kłos
Kładziem się u Twych stóp.

2.

Bogarodzico, Dziewico,
Patrz, oto naszą ziemię
Okręcił zdradny wąż.
Na wierne Tobie plemię,
Oh! nawróć blask Swych ócz;
Bogarodzico!
Łańcuchem węża zwiąż
I na dno piekła wtłócz.

3.

Bogarodzico, Dziewico,
Słuchaj nas Panno czysta,
Bo wróg urąga nam,
Nad nami w palce śwista,
Kiedy łzy lejem w dłoń;
Bogarodzico!
Ty hardy kark mu złam,
Prochem mu osyp skroń.

4.

Bogarodzico, Dziewico,
Nie jedna matka płacze
U szubienicy stóp,
A gad koło niej skacze,
I czarny bije ptak;
Bogarodzico!
Pomnij że Krzyża słup
I Tyś łzawiła tak.

5.

Bogarodzico, Dziewico,
Umocnij nas wejrzeniem;
Bo niosąc męki krzyż
Padamy pod brzemieniem,
Jak syn upadał Twój.
Bogarodzico!
K'nam Galilejkę zbliż,
Co krwawy ściera znój.

6.

Bogarodzico, Dziewico,
Gołąbko Ty Syonu!
Cudowna Twoja moc,
Nad ziemią Twego tronu
Roztęczuj skrzydeł blask,
Bogarodzico!
A w czarną ziemi noc
Wolności pryśnie brzask.

7.

Bogarodzico, Dziewico,
Wszak Polski Tyś Królową,
Czemuż odwracasz twarz
Od ziemi Twej na nowo?
O! usłysz Ludu śpiew,
Bogarodzico!
Pod Twoję świętą straż
Składamy naszą krew.

8.

Bogarodzico, Dziewico,
Wysłuchaj tę modlitwę,
Jak ojców tak i nas
Tą pieśnią prowadź w bitwę.
Niech wrogom strasznie grzmi:
«Bogarodzico!»
A w niepożyty czas
Hołdować będziem Ci.

VI.

W CZEŚĆ UMARŁYM.

Och! cała ziemia ta nasza cmentarna
Wygląda Panie jak czara ofiarna,
W którą poganie zlewali krew wrogów
Dla dawnych bogów.

Coraz się więcej spód ziemi zaplemia,
Na nowe groby miejsca nie ma ziemia,
A więc na prochach ojców, twarzą bladą
Syny się kładą!

I oto Panie, jak się wypiętrzyła
Warstwami trupów sypana mogiła,
A innem licem każda pokolenia
Warstwa się zmienia.

I najprzód leżą daleko u spodu
Ciemne olbrzymy, ojcowie Narodu:
Ci pospierali o krwawe oszczepy
Czaszek czerepy.

I niedźwiedziową okryli się skórą...
A znać im z oczu przymkniętych ponuro,
Że w borach wiodły nie jeden bój dziki
Te zapaśniki.

A na tych ciałach szeregiem się łożą
Ludzie, co znali już naukę Bożą,
Bo szorstkie dłonie na zbroi ze stali
W krzyż poskładali.

A każdy patrzy pokojem natchniony;
Widać że poległ dla kraju obrony,
Widać że synom kraj wolny zostawił,
I siebie wsławił.

Wyżej na owych ojcach bogobojnych
Kłębią się ciała w rzutach niespokojnych,
Jak na wędrowcach, co zmylili drogę,
Znać na nich trwogę.

Jedni z nich troską zadumani leżą,
Drudzy w rozpaczy miecz złamany dzierżą,
A inni zdrajców osypani trądem,
Straszą się sądem.

A prócz tych, Panie, co śpią w ziemi zmierzchu,
O! ileż trupów tu, na samym wierzchu!
A wszystkie w Niebo patrząc znaną twarzą,
Ach! o nas marzą....

Sercem i ręką naszą obwiązani,
Teraz, o Panie, leżą przepasani
Przez szyję siną pręgą, a przez łono
Pręgą czerwoną.

I jako słudzy Twoi w dawnej Romie
Z pieśnią stawali na płonącym łomie,
I na świadectwo Twojej wiecznej prawdy
Cierpieli zawdy;

Tako i nasi bracia, wielki Boże!
Jak na spoczynek szli na krwawe łoże,
A strasznym bolem pokurczone wargi,
Nie miały skargi.

Panie! toż wszystkie ojców naszych winy,
Już śmiercią swoją okupiły syny!
Panie! Tyś musiał zmarłych poczet cały
Wziąść już do chwały.

A jeśliś naszą pokutę żałobną
Dotąd nie skończył — daj nam śmierć podobną;
Ale nam powiedz: «*Do ofiarnej katni
Idźcie ostatni!*»

Ale nam powiedz: «*Was umieszczę w chwale,
Kraj wasz ku morzom rozścielę wspaniale,
A dzieci wasze do jednego stołu
Sproszę pospołu!*»

Cześć, cześć i chwała niech będzie popiołom,
W proch, w proch, w pokorę giąć się naszym czołom,
W jęk, w łzę rozlewać to nasze wołanie
Do Ciebie Panie!

VII.

MODLITWA WIĘŹNIA.

Mówią o Panie, żeś mię upokorzył,
A Tyś mi zasług i chwały przysporzył;
Mówią o Panie, żeś Ty na mnie gniewny,
Że twardy grzesznik Twoje gromy kuszę,
A wżdy ja w duszy spokojny a pewny,
Bom w Tobie Panie położył mą duszę.

I Tyś nad ludzi wywyższył mię wielce,
Bo płoniesz we mnie jak w rosy kropelce
Słońce; snać Ty mię bardzo umiłował,
I jako syna pokochałeś szczerze,
Kiedyś mię Panie na męki zachował,
Bym dał świadectwo Twojej świętej wierze.

Snać łaska Twoja jest ze mną, o Boże,
Gdy wróg się trwoży, a ja się nie trwożę.
Niedawno temu jak mię na powrozie,
Przed licsne sługi cesarskie przywiedli,
Więc mię pytali w pogardzie i zgrozie:
«Tyżeś to?» — *Jam jest.* — A oni pobledli.

Potem sędziowie posiadali w kole,
I położyli Krzyż Pański na stole,
I rzekli: «Ktoś ty?» — Jam sługa narodu.
— Coś czynił z dawna? — pytali ze złością,
— Jam naród kochał, z dawna, bo od młodu.
Więc rzekli razem: «Tyś winien — miłością!»

A syn Twój Panie, co miłość nauczał,
Co bliźnim bliźnich w opiekę poruczał,
Co rzekł, że w niebie ci będą najpierwsi
Którzy kochali — bardzo się zasmucił,
I niżej głowę opuścił na piersi,
I oko swoje od sędziów odwrócił!

Wrogi o Panie, pastwią się nademną,
I na mieszkanie dali otchłań ciemną,
Otchłań wilgotną, z ciemnością bez końca,
Ciężkim łańcuchem skuli ręce moje...
A mnie się zdaje, że ja mam dwa słońca!
Że mi od ramion rośnie skrzydeł dwoje!

A jednak Panie, ciężko sercu memu,
I lotu ptaku zazdroszczę każdemu,
Bom ja na świecie zostawił w żałobie
Wiele serc bratnich i rodzinę drogą.
To za nich oko podnoszę ku Tobie,
Bo ręce skute podnieść się nie mogą!

Ty moje gniazdo wszechmogący Panie,
Swoim aniołom oddaj pod czuwanie;
Niech każdy z Moich z wiecznie jasnej strugi
Twych błogosławieństw, jasny żywot czerpie,
I na kraj wolny nie czeka czas długi,
I łez niech niezna. A ja — niech już cierpię!

Nieraz ja Panie, przez muru szczelinę
Gdy wzrok nie może, to myślą wypłynę,
A myśl do mojej rodziny mię niesie,
W raj mej zagrody cichy i uroczy;
Och, za tym rajem dusza moja rwie się!
Och, za tym rajem tęsknią moje oczy!

A wszakże, Panie, w Twojej leży mocy
Wyrwać mię z więzów i z tej strasznej nocy,
Lecz jeźli sądzisz że śmierć i męczarnie
Ojczystą sprawę w stanie są popierać
Mocniej, niż życie prześlizgane marnie ....
O Panie, Panie! to ja chcę umierać!

VIII.

MODLITWA

OJCA PRZY CHRZCIE SYNA.

Czarny kir biorę — dziecka jasne skronie
Żałobnym znakiem pokutnika słonię,
Krzyż mu podkładam z którym będzie chodził;
I tak go niosę w świątyni przedsienia,
Bo oto w ziemi Twego potępienia
Nowy niewolnik się zrodził!

Jam ojcem, Panie! a nad jego głową
Wylewam skrycie łzę heraklitową,
Godzę go wcześnie z życia jego treścią;
O! bo kto wyjdzie z krainy żałoby,
Kto dzieckiem ujrzy ofiar świeże groby,
Ten już żyć musi — boleścią!

Gdybym mógł Panie! jabym mu za młodu
Wyporał serce, co jest nakształt wrzodu,
A będzie chodził swobodnie choć luźnie;
Bo ci szczęśliwi tylko w swym żywocie,
Co zapomnieli o sercu i cnocie...
O Panie, Panie! — ja bluźnię!!

O Panie, Panie! ciężka Twoja kara,
Kiedy tak w duszę wkrada się niewiara,
Że nawet ojciec niemowlę nią wita.
W skrusze i żalu przed Tobą upadam,
Chciałbym się modlić, a sercem nie władam...
Ciemno mi! — Panie, już świta!

Oto ja Tobie przynoszę na ręku
To dziecię moje, co jest pełne jęku,
I jakiejś wielkiej, tajemniczej trwogi;
Syn to człowieczy — a pół-anioł boski
Zleciał na ziemię i jest pełen troski,
Bo nie zna miejsca, ni drogi.

Więc mu krzyż Pański kładę do prawicy,
Garść z naszej ziemi rzucam do chrzcielnicy,
Imię tej ziemi na piersi mu piszę,
I oko jego obracam na słońce,
Dwóch krzywych szabel zkrzyżowałem końce,
Na szablach dziecię kołyszę!

Chrzest się dopełnia! — O Panie! o Panie!
Niechaj to dziecię w przyszłości powstanie
Obrońcą wiary, bohaterem, mężem!
Za słońcem prawdy niechaj się kieruje,
Niech swą ojczyznę nad życie miłuje,
Niech ją wywalcza orężem!

Gdy ślubem ducha z Tobą się zaręczy,
Niech śmiało stąpa przy wiary poręczy,
Drogą, co przepaść ma tylko lub ciernie;
O Panie! dziecię miej moje na pieczy,
Dozwól niech ono cierniem się kaleczy,
Lecz od przepaści chroń wiernie.

Strzeż go, by obcym nie kłaniał się bogom,
Niech Tobie służy a nie Twoim wrogom,
Im niech nienawiść i zemstę przysięże;
Niech nie zna szczęścia, ni snu, ni pokoju,
Pokąd nie będzie zwycięzcą, lub w boju
  Z męczeńską chwałą nie lęże.

Oto go Tobie składam na ofiarę
Za wolność mojej ojczyzny, za wiarę,
Chociaż Twych sądów nie mogę ja dociec;
Wysłuchaj Panie to moje wołanie,
Bo świętszych modłów już nie ma o Panie,
  Jak kiedy modli się — ojciec!

IX.

ZA ZBŁĄKANYCH.

1.

Maleje, Panie, maleje Twój naród;
Widomej śmierci osłabia go zaród,
Duch jego siły z ciałem się rozprzęża,
Toć łatwiej u nas o karła — niż męża!

Niby nas wiele — a jakżeż nas mało!
Wszystko się w inną stronę rozleciało,
Twojego głosu prawie nikt nie słucha;
Pękły ogniwa, — nie stało łańcucha!

Lud nasz, o Panie! co wichrzy się spodem,
Dotąd się jeszcze nie nazwał narodem;
Jak liść jesienny zgromadzony w lesie,
Tam on ulata — gdzie go wiatr uniesie.

Do obosiecznych podobny on mieczy:
Kto nim zamachnie, wprzód siebie kaleczy,
A straszne jego i śmiertelne cięcia,
Bo on ma siłę — choć siłę zwierzęcia.

I jak łódź, długo więziona w przystani,
Zerwawszy łańcuch, buja po otchłani,
I skał niepomna ukrytych pod wodą,
Zgubną swawolę nazywa swobodą,

Tak lud nasz wybiegł w bezdroża manowców;
A więc Ty Panie, coś strażą wędrowców,
Tę łódź błądzącą do brzegu nakieruj,
My jej wioślarzem — a Ty Panie steruj!

2.

Inni znów, ślepą trapieni bojaźnią,
Wrogu hołdują, z wrogiem się przyjaźnią;
Jadem powolnym krąży w nich zepsucie,
Pycha w nich piątrzy a trawią ich chucie.

Jeźli się skruszą, to sercem niecałem;
Jeźli się zerwą, to krótkim zapałem;
Niezdolni wznieść się do żadnej ofiary,
Popchnięci, w przyszłość idą — lecz bez wiary!

Słabe to duchy! Marne samoluby!
Syny to ciała, frymarki, rachuby!
U nich to wielkie, co stoi przed twarzą,
To tylko ciężkie, co na dłoni zważą.

Kiedy ich matka z grobu wstaje wskrześnie,
Oni wołają: Zawcześnie! zawcześnie!
I każą biednej aż do *jutra* czekać,
A sami będą przed *jutrem* uciekać.

O! Panie, oni jeszcze niezgubieni,
Ale niełaską Twoją nawiedzeni.
O, Panie! otchnij ich potęgą słowa,
A jeszcze życiem tryśnie pierś jałowa.

3.

Tyś wielki Panie! za Twoim rozkazem,
Co było miękkiem — staje się żelazem,
Co było ślepem — to przewidza nagle,
Co było nizkiem — puszcza skrzydeł żagle.

Tyś wielki Panie! na ruch Twego palca,
Zgubną moc swoją traci jad padalca,
Dla głów wyniosłych przepaść się otwiera,
A wiecznem życiem płonie — co zamiera!

X.

CHORAŁ.

1.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie Panie bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

2.

Ileż to razy Tyś nas nie smagał!
A my nie zmyci ze świeżych ran,
Znowu wołamy: «On się przebłagał,
«Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!»
I znów powstajem w ufności szczerszi,
A za Twą wolą zgniata nas wróg,
I śmiech nam rzuca jak głaz na piersi:
«A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?»

3.

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu
  Sto słońc nie spadnie wrogom na znak....
Cicho i cicho — pośród błękitu,
  Jak dawniej buja swobodny ptak.
Owoż w zwątpienia strasznej rozterce,
  Nim naszą wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce:
  Sądź nas po sercu, nie według słów!

4.

O! Panie, Panie! ze zgrozą świata,
  Okropne dzieje przyniósł nam czas,
Syn zabił matkę, brat zabił brata,
  Mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Ależ o Panie! oni nie winni,
  Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
  O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

5.

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
  Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem jak senni ptacy,
  Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią,
  Daj nam widzenie przyszłych Twych łask,
Niech kwiat męczeństwa uśpi nas wonią,
  Niech nas męczeństwa otoczy blask.

6.

I z archaniołem Twoim na czele
  Pójdziemy potem na wielki bój,
I na drgającem szatana ciele
  Zatkniemy sztandar zwycięzki Twój.
Dla błędnych braci otworzym serca,
  Winę ich zmyje wolności chrzest;
Wtenczas usłyszy podły bluźnierca
  Naszą odpowiedź: «BÓG BYŁ I JEST!»

XI.

CHWAŁA TOBIE PANIE!

Jak onemu Jobowi, gdy słudzy w żałobie
Przybiegli, krzycząc: «Starcze! wszystkie syny twoje
Pan odebrał tobie» —
A on wciągnął na głowę zdartych szat zawoje
I jęknął: «Święta wola niech się Twoja stanie,
«Chwała Tobie Panie!»

Podobnie, kiedy zbójce braci nam pobili,
A my ze snu okropną ocuceni wieścią,
Chociaż w pierwszej chwili,
Bluźnili Ci, bezbrzeżną targani boleścią;
Jak ów Job teraz w skrusze wznosimy wołanie:
Chwała Tobie Panie!

Twe oko, co nad płazem opiekuńczo świeci,
I nas pokutujących trzyma na swej pieczy;
A wszak dla swych dzieci,
Pelikan własnym dzióbem pierś białą kaleczy;
Toż nie darmo krwi naszej stało się wylanie....
Chwała Tobie Panie!

XII.

AKT WIARY.

I rzekł Jeremi: słuchaj mnie narodzie,
A nie patrz na mnie tak łzawo a smutnie;
Długom ja płakał w oliwnym ogrodzie,
Długo ja łzami rozdźwięczałem lutnię,
A teraz wstaję ciałem utrudzony,
Lecz duszą silny — wielki — namaszczony.

Oto się do was stało moje słowo,
Wy do mych kolan jak dzieci przybiegli;
Otom was okrył koroną cierniową,
A wy w pokorze w proch czołami legli:
Teraz powstańcie z koroną gwiazdzistą,
I oblekajcie szatę białą — czystą.

Ileż wy żółci nie pili kielichów!
A jednak pełni byliście obawy;
Gorycz zrze duszę, lecz nie zmywa grzechów.
Teraz narodzie tyś przebył chrzest krwawy:
Tą krwią dopiero grzechyście spłukali
A więc do światła występujcie — biali!

Ja was utwierdzić chcę w tej świętej wierze,
A więc bierzmuję wasze dusze jeszcze,
Pierś w archanielskie skuję wam pancerze,
Na pogląd w przyszłość dam wam oko wieszcze,
Pieśnią pogodzę was z dzisiejszym losem....
Śpiewam ją! — a wy, idźcie za mną głosem.

PIEŚŃ.

Wierzymy Panie! o! wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Ześ nas zapalił jak pochodnię nocną
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że chociaż czasem słabemi zachwiejesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem,
Żeś aniołami otoczył otchłanie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, żeśmy syny światła,
Że nasze wrogi są dziećmi szatana,
Że on im stoi na czele i matła
Twą świętą wiarę, co niepokalana
Z tryumfem skończy z nim swe bojowanie....
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że synowie pychy
Silni są złością ale słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze przypniesz na łańcuchu,

Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że w czas niedaleki,
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą jak na słońce!
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,
Wierzymy Panie!

DODATEK.

KRZYŻ A MIEČZ!

1.

Rozwiążmy usta wszem gwiazdom w cześć,
Bo Pan nas święci ogniowym chrztem,
Bo, w archanielską znurzany wieść,
Każdy ból nowy staje się snem;
Bo już świat stary jak Jericha turmy
Wali się w gruzy na głos Twojej surmy,
Tobie na chwałę, Ojcze nasz,
Tobie na chwałę, Ojcze nasz!

2.

Pierwsza to Panie giniem bez skarg,
Bo nam ofiarna krew płynie w jaw;
Więc Cię tysiącem sławimy warg,
A Ty odwagą błogo nas sław:
Aby był zbawion, gdy wytrwa do końca,
Twego imienia Twój naród-obrońca,
Twego obozu przednia straż,
Twego obozu przednia straż!

3.

Z niebieskich progów Ty schodzisz już,
To my spokojni idziem na sąd
Niosąc krew naszą zlaną do kruż;
Więc nas zapytasz: Dzieci, a zkąd?
Z Polski o Panie! z głodu i pragnienia,
A niesiem mirrę na całopalenia,
Byś nam ojczyznę Panie dał,
Byś nam ojczyznę Panie dał!

4.

A Ty nam rzeczesz: «Wiernyś ty lud!
Idź w bój ostatni wrogom na kres.»
Więc miast chorągwi poniesiem wprzód
Dzbany krwi naszej i dzbany łez.
A gdy nas przyprze poganów plemię
Wtedy roztrącim dzbany o ziemię,
By nowy hufiec z tej krwi wstał,
By nowy hufiec z tych łez wstał!

5.

I z szczytu naszych mogilnych gór
Ogłosim ludom sojusz i mir,
I zlecim z szumem orłowych piór,
Nie z brzękiem stali, lecz z brzękiem lir;
A jeźli przyjmą naszą pieśń z urazą,
Czy nam w dłoń włożysz, zamiast strun, żelazo,
To już ojcowska Twoja rzecz,
To już ojcowska Twoja rzecz.

6.

Wówczas hetmaństwo weźmiesz już Sam,
  A nam dasz Panie pioruny Twe,
I nam co z krzyża zeszli bez plam
  Każesz wytępić Sprośne i Złe.
I świat zamarzy o strasznych aniołach
Co na sodomskich siedzieli popiołach....
    A hasłem naszem: *Krzyż a miecz!*
    A hasłem naszem: *Krzyż a miecz!*

r. 1848.

MODLITWA.

1.

Grzeszni, senni, zapomniani,
Ojcze nasz!
Budzimy się już w otchłani
Ojcze nasz!
Daj nam jutrznię jasnowłosą,
Z plam i ze snu obmyj rosą,
Prowadź w pole, choćby boso...
Ojcze nasz!

2.

Upadaliśmy pod krzyżem
Chrystusie!
Ale Tobie się uniżym
Chrystusie!
Twoje Imię nam buławą,
Zmień na jasną,.drogę krwawą,
Daj zmartwychwstać nam ze sławą,
Chrystusie!

3.

Dawna nasza Ty Królowo,
O Maryo!
Ach, za nami przemów słowo,
O Maryo!
Ochromiałym podaj rękę,
Niewytrwałym skracaj mękę,
Twe królestwo weź w poręk,
O Maryo!

4.

Ty zwycięzki na katusze
Spłyń Duchu!
Czekają Cię nasze dusze
W posłuchu!
Rozpal miłość w naszem łonie,
Mieczną palmę podaj w dłonie,
Na przygasłe nasze skronie
Spłyń Duchu!

r. 1860.

DROBNE POEMATA I URYWKI.

MARATON.

The mountains look on Marathon
And Marathon looks on the sea;
And musing there an hour alone,
I dream'd, that Greece might still be free,
For standing on the Persian's grave,
I could not deem myself a slave.

Byron.

WSTĘP.

Wy chcecie pieśni! — wy chcecie pieśni
Zapewne dźwięcznej i słodkiej dla ucha,
A ja mam dla was, o! moi rowieśni,
Pieśń, co przypomni wam pobrzęk łańcucha.

Wy chcecie pieśni ni kwiatu do wieńca,
Coby śród uczty mogła was pochwalić,
A jabym pragnął wam w ogniu rumieńca
Rozmiękłe dusze jak zbroję ostalić.

O! żal się Boże — tak młode pachole,
Zamiast miłować, muszę nienawidzić,
I jasne czoło omarszczać w mozole
I czyste usta wykrzywiać — i szydzić.

Wciąż się szamocę szukając sposobów
Jakby was zmężnić, — wszystkie drogi mylne!
A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobów,
Na jaw wygrzebię czyny podmogilne,

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z niemi wskrzeszę stary swiat zamarły,
Może choć wtenczas przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście — karły.

Może choć wtenczas, stojąc na pręgierzu
Przed sądem świata, przed własnem sumieniem,
Przyznacie sami, że rdzę na puklerzu
Można zmyć tylko własnej krwi strumieniem.

Cierpka to mowa, — jak krew spiekła czarna,
Ale w niej skryta myśl zbawienia leży;
Wszak wiécie bracia! że z cierpkiego ziarna
Dąb rozłożysty pod niebo wybieży.

1.

Ha! Sardes gore! A spowity w dymie
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzymie,
I osmalone nim przetarł powieki,
Już go objęły złote ognia rzeki,
Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył,
I nóż ocierał, co się w niej obroczył...
Ha! Sardes gore! lament się rozrasta,
Ha! Sardes gore!....

Z płonącego miasta
Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni
Jęk konających przy uchu mu dzwoni,

I leciał nocy osłoniony mrokiem;
Czasem za siebie rzucał trwożnem okiem,
A wiatr przez góry za nim żarem dmuchał,
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał:
Może mu teraz wróg braci wyrzyna,
I starą matkę napawa krwią syna,
I chatę niszczy ogniem i żelazem —?
— Hej, nie ma czasu! Z satrapy rozkazem
Pędź dalej gończe! Jeszcze drogi wiele!
Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele. —
Zerwał się goniec zpękany boleścią,
Ruszył przez puszczę z nakazaną wieścią,
I biegł tak skoro aż do wschodu słońca;
A gdy na czatach zszedł innego gońca,
„Hej, Sardes gore! Do Suzy! Do Suzy!“
Krzyknął i wrócił; a tamten przez gruzy
Jak struś popędził, rozwinąwszy skrzydło —
I znikł przed słońcem, jak nocne straszydło.

2.

Suza, wiosenna królewska stolica,
Jako wybrana młoda miłośnica,
Rozpieszcza pana; o, bo jej kochany
Zatęskni w lecie do swej Ekbatany,
A ztamtąd w zimie mknie do Babilonu;
A gdy się skłoni do wiecznego schronu,
W Persepolisu skałach grób wyrąbie,
I na wiek wieków uśnie w katakombie.

W Suzie, na dworze, król Darjusz ucztuje;
Sto cudnych dziewic jemu usługuje,
Sto niewolników na klęczkach się wije, —
On innej wody przy stole nie pije

Tylko z Choaspu dalekiej krynicy,
A chleb je tylko z eolskiej pszenicy,
A wino jego, to aż z Chalibamu,
Sól z puszcz Afryki, ze świętego chramu
Zewsa-Ammona. Bo każda kraina
Pod jego ręką żelazną się zgina,
Co ma najlepsze, z drugiemi pospołu
W pokorze znosi do pańskiego stołu.

A gdy tak Darjusz rozległ się za stołem,
Przybieżał goniec, i padł przed nim czołem,
I woła: „Panie! Sardes, Sardes płonie!
Sardes, to klejnot w twej złotej koronie,
A oto rokosz podnieśli Jończycy,
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy,
I palą miasto!“

A drugi nadbieży,
I woła: „Panie! Sardes w gruzach leży!
Ateńczyk spalił zamek i świątynie,
Winem napełnia święcone naczynie,
I tobie królu, przy uczcie urąga!“

Król wściekły gniewem wielki łuk naciąga,
I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę
Z prośbą do Bogów, aby tę zakałę
Krwią obmyć dali. I jednego sługę
Odstawił, aby każdą rwiącą strugę
Wrzawnych uczt jego tamował wykrzykiem:
„Pomnij się Panie! mścić nad Ateńczykiem!“

A potem Magów rozkazał przywołać,
I pyta: „Grekom godzien też podołać?

Naród to wielki, gdy taki zuchwały."
A oni rzeką: „Królu! kraj ich mały,
I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa;
Łatwo go w jarzmo zakować poddaństwa.
To szczypta ziemi, tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
A gdybyś kazał ostremi pazury
Rozerwać stare Babilonu mury,
To mógłbyś Panie! zwirem i kamieniem
Zasypać kraj ten z całem pokoleniem."

Magowie prawdę mówili ci, królu.
Naród to mały, lecz jak pszczoła w ulu,
Każdy z osobna o swym domie radzi,
A gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.
O kraj to mały — tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma;
O kraj to mały, niby szyba tarczy;
Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy!

3.

W Atenach wrzawa! Perscy heroldowie
Stoją na rynku i w nieznanej mowie
Coś ciżbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał.
Jeden Grek tylko, co po persku umiał,
Wstąpił na kamień i zaczął tłumaczyć
Na język swojski; a miało to znaczyć:
„Darjusz król Persów i Medów, pan świata,
„Na harde ludy plaga i zatrata,
„Zsyła heroldów, by mu wasze plemię
„Na znak poddaństwa dało wodę, ziemię;
„A może da się pokorą przebłagać,
„I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać."

Za każdem słowem lud jako lew mruczał,
A potem śmiechem szyderczym zahuczał,
Plwał w oczy Persom, szaty im rozdzierał,
Ciskał kamieniem, — Pers z trwogi umierał,
A lud jak rzeka ogromna w wylewie,
Rwał ich ku sobie — szalał w wściekłym gniewie,
I wlókł ich drżących aż za miasta bramy.
Tam między skalne przepaści rozłamy
Wtrącił heroldów, i w ciemnię głęboką
Puścił za nimi w ślad ciekawe oko;
W dzikiej radości aż zębami zgrzytał
Widząc jak Pers się po urwiskach chwytał,
I czepiał cierni, i okrwawiał ręce,
I wył jak szakal w przedśmiertelnej męce.
A potem — scichło, — potem jęk: — o skały
Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały;
A lud zaciekły, zemstą rozjuszony,
Szydził, nad jamą stojąc pochylony:
„Tam podostatkiem i ziemi i wody!
Jédźcie i pijcie!“

Temistokles młody
Wystąpił z tłumu, i rzecze: „Ojcowie!
Słuszną ponieśli karę heroldowie;
Lecz między nami jest Grek winowajca;
Niechaj więc ginie jak oni, jak zdrajca!
Niech więc i tego nie ominie kara
Co plugawemi wyrazy barbara
Dziś do niewoli wzywać nas się ważył.
Ojcowie! on nam język nasz znieważył!
On jego świętość pokalał i zbrukał,
Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał.
Od kiedy przyszła z Olimpu ta mowa,
Jeszcze tak w niej się nie wiązały słowa;

On nierozważnie o jej męty trącił,
I czyste źródło mowy naszej zmącił.“ —

A w całym tłumie jeden okrzyk słynie:
„W przepaść z nim! w przepaść! Niech ginie, niech ginie!“
I ciągną Greka; — on błaga ze łzami,
Żeby go razem nie grzebać z Persami,
Żeby nie mieszać jego wolnych kości
Z kośćmi sług podłych. — W oznakę litości,
Dwaj przyjaciele i bracia najszczersi
Własną mu ręką rozpłatali piersi.
On błysnął okiem w bezmownym podzięku,
I upadł trupem bez skargi, bez jęku.

4.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
Z czterech stron świata zlatują się sępy,
Medy z Egiptem, Pers z Indyanami,
A Artafernes i Datis wodzami.
Aż wichr się zrywa od wiania buńczuków,
I gwar powstaje od pochrzęstu łuków,
Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
Tak wielka koni i ludzi nawała.
Możnaby niemi podbić cały świat ten,
A tam krzyk tylko: „Do Aten! Do Aten!!

I mają rozkaz surowy wodzowie,
Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie,
I wiele, wiele przysposobić łyków —
Tyle w Atenach wezmą niewolników.

Ciągną szarańczą. Z pięknego Miletu
Zostały jeno ogryzki szkieletu.

Na szyjach niewiast szczerbiły się miecze.
Chodzono w zakład, kto więcej wysiecze.
Naxos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach;
A starce z dziatwą chronią się po górach.
Morska Eubea w perzynie osiadła;
Harda Eretria do ziemi przypadła;
I cała Grecya struchlała i zbladła.

5.

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera.
Wierny swój naród opuściły bogi,
I do wyboru dały mu dwie drogi:
Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!

A jedni szepczą: „Nieprzyjaciół siła!
Na cóż się przyda ofiara i męztwo?“
A drudzy krzyczą: „Śmierć albo zwycięztwo!“
Śród nich Milcyades jak zesłannik bogów,
Jak ona Pitia z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.
Lud go otoczył — zwiesił skroń i słucha.

„Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróz okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza,
Pan niedaleko, — niech do niego pełza,
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech jak pies głodny czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca.

A my zostańmy! My w nieszczęściu razem!
Albo wytępim wrogów tem żelazem,
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą.
Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
Lub bladość trupia, — nie wstydu rumieniec!

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną,
I tą przemocą, co się zda niezłomną —?
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem.

Jakąż nad nami może mieć przewagę,
Zgięty niewolnik, którego odwagę
Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
A którą prawo nie włada, lecz pycha. —

A nas, nas wielkich praojców posągi
Do świetnych czynów wzywają, jak ongi,
Długim szeregiem ogrodziły rynek,
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą,
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.

A nas, nas wszystko do boju porywa,
Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienia poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swojem łonie tyle sławy chowa!

Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!“

A lud wykrzyknął: „Śmierć albo zwycięztwo!“
I śród radości weselnych okrzyków
Posłał do Sparty i do Platejczyków
Prosić pomocy.

Odmówiła Sparta;
Bo jej zabrania święta ustaw karta,
Co jest wyrocznią przy wszelkim obrządku,
Na bój wyruszać w księżyca początku.
Ale Platea nie bacząc na gwiazdy,
Przysłała zbrojny hufiec dzielnej jazdy.

6.

Nad Maratonem
Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonem.
Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy.
Bijąc skrzydłami niecierpliwie kraczą,
Rychło też ścierwo na polu obaczą.

A przeciw Persom stoi garstka ludzi.
Persom się zdaje że ich oko łudzi;
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska
Med pomrukuje: „Szaleni! Szaleni!
Jeden na tysiąc! my niezwyciężeni!“

Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą;
I na znak dany miecze się podnoszą,
Noga w przód sunie, mur sie tworzy z tarczy;
Od strony Medów już milion strzał warczy,
Już się zbliżają, już ku sobie biegą,
Szczęk, jęk, kurzawa...
Niech ich bogi strzegą!

7.

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłej potrzebie, dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i pługi;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli,
I za kraj może w tej chwili polegli.
I każdy ziszczał nie słowem lecz czynem,
Że niewyrodnym był ojczyzny synem.

W Atenach pusto. Śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzał w trwożnym niepokoju
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać; i słońce zagasło,
I gwiazdy.... Cyt — cyt; coś w pobliżu wrzasło....
Prędkiemi kroki ktoś po bruku bije,
I woła: „Tchu! Tchu! Głosu! Grecya.... żyje!
Cześć! Cześć!... Milcyades!... Tchu!... Zwycięztwo z nami!“

Kobiety z domów wyszły z pochodniami....
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył,
I padł wołając: „Zwy — cięztwo!“ — Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję; — całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany.

8.

Na pobojowisku
Po całodziennem morderczem igrzysku,
Po krwawym trudzie, po stoczonej wojnie
Tysiące ludu usnęły spokojnie.
Grecy z Persami na jednem posłaniu,
Leżą bez gniewu w wiecznem pobrataniu.
A przy nich kruki skaczą i godują,
I schrypłym głosem braci swych zwołują.

Z jednego Greka kruk ciało wyrywa,
Grek konający tak do niego śpiewa:
„O szarp, szarp serce, niech już zaumiera!
O pij, pij kruku, krew to bohatera!
Szarp, pij, a dziób twój jak ramię urośnie!“

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,
Nad każdym trupem chylą się z kagańcem,
Czy okrytego nieprzyjaciół szańcem
Nie ujrzą ojca, kochanka, lub męża....

Wschodzący księżyc bije w lustr oręża:
To Sparta idzie — obaczyć ciekawa,
Gdzie się toczyła Aten walka krwawa,
Gdzie Med okrutny, co swe straszne imię
Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie,
Teraz bezwładny snem spokojnym drzymie.

r. 1844.

USTĘP Z POWIEŚCI SYBIRSKIEJ.

W strony, gdzie imię Polski tak się zetrze,
Że jest na sercach plamą nie wyrazem,
A dusze ludzkie w omglone powietrze
Już się nie wznoszą, by choć latać razem —
Tam Bóg posyła swego męczennika
I jak chorągiew złotą go zatyka,
Aby szumiała ogniowym szelestem
Nad głową śpiących: Kto ze mną? bo jestem!
Aby na naród przez ten znak widzialny
Zlewał się hojnie duch sakramentalny,
A on swe skrzydła boleśne rozszerzył,
Chwiał się na falach własnej krwi — i wierzył!

A jeźli blask on i ten głos co woła
Na marmurowe tylko spadnie czoła,
To żeby duchów niewidzialne twarze
Płoszone z nieba o ojczyznę trwogą,
Mogły odpocząć na takim sztandarze
Kiedy na sercach swych synów nie mogą.

On wrócił z Sybiru!
A iskrzy dotąd młodości zarzewiem,
I mniej ma w licu żałobnego kiru
Niźli to dziécię, które pod modrzewiem
Na progu domu siedząc, główkę składa,
Smutne tym cieniem, co na nie z drzew pada.
A oczy jego jasne, błogie, święte,
Jakby już ręką aniołów dotknięte,
Lub dotąd na nich świeciła pozłota
Z tych gwiazd polarnych, przez które on biedny,
Jak przez wiodące do ojczyzny wrota,
Latał do Polski po oddech powszedny,
I pełen szumu ojczystej topoli
Wracał i żył nim na ziemi niewoli.

Z czoła niebieska biła mu powaga,
Z ust jego prawda ostra choć nie naga,
Bo prawie zawsze mówiący z zapałem
Słonił ją mimo chęci ideałem;
Ta poetyczność była w jego duchu,
Nie jak u innych chełpliwa, nieszczera,
Co za słuchaczem chętnie się obziera
I sama zwiędłe wije sobie wieńce.
W zwykłem obejściu i w głosie i w ruchu
Zachował szorstkość nabytą w żołnierce,
Pozór surowy, a w gruncie miał serce
Wiejskiej dziéweczki, jej łzy i rumieńce.

On Polskę naszą nie stroił wymową
Poetów, którzy ją widzą w ozdobie
Jak Przenajświętszą gdy stoi na globie,
Depcząca węża swą stopą perłową,
W tęczach, przy chórów serafińskich grzmocie;
Ale on widział ją w syna prostocie

Jak błędną matkę, którą napotykał
Na skałach lodu i ran jej dotykał,
I po ulżenie biegał często do niej,
I czuł jej ciepłe łzy na chłodnej skroni.
Więc stał się w końcu jako ów najmłodszy,
Ze siedmiu braci, syn wdowy najsłodszy,
Mogący w stosie gorejących polan
Konać z uśmiechem z duszą u jej kolan.

Brzegiem jeziora szliśmy późnym zmrokiem,
Oba milczący, w dumaniu głębokiem;
Żadnym powiewem niemarszczone wody
Legły jak wielka, gładka lodu szyba,
Na niej oczeret sklepił się w ogrody,
I jedna w srebrze wyorana skiba
Gorzała światłem: Na uspionej fali
To księżyc długą kolumną się pali;
A innych więcej na grzbiecie gór błyska
Wschodząc: To nocne pastusze ogniska.

I cisza była jednostajna wszędzie,
Dzikiego ptactwa dawno ścichły gwary,
Tylko samotny jeden żeglarz szary
Oczeretowe okrążał krawędzie,
I strzegł swych braci obozy uspione
Bacznie zwracając głowę w każdą stronę.
Długo czekałem by ta czata wrzasła
I z góry znane odebrawszy hasła
Współplemienników zbłąkane szeregi
Do swej fortecy przyjęła w noclegi;
Lecz nic nie rwało spokojności smętnej,
I przeraziła mnie ta dziwna głusza,
W której mi własna oniemiała dusza;

Więc jak złe dziecko w fantazyi namiętnej
Podniosłszy bryłę ziemi wyżej głowy
Rzuciłem w srebrny filar księżycowy.
I wnet jak w kuźni rozogniona szyna
Gdy silna ręka uderzy w nią młotem,
Tak ten słup nagłym odjęknął łoskotem,
Chwieje się, pęka, jak wąż się przegina,
Tysiącem iskier z łona swego sypie,
Każda z nich leci, spada, wodę szczypie,
Aż skacze coraz dalszemi obręczy
Ta woda, co jak szkło rozbite brzęczy.
I jeden drugi szuwarowy szałas
Zwichrzył się w środku: popłoch, szelest, hałas,
I czarne ptactwo podnosi się hurmem
Krzykliwe, gniewne na przerwane wczasy,
Potem jak wojsko sprawiane przed szturmem
Wiąże się w sznurek — i poszło na lasy.

Scichło; jam myślał o sile kamienia
Co budzi całe jezioro z uspienia;
Wtem o me ramię oparł się towarzysz
I spytał: Młody bracie, o czem marzysz?
Rzekłem: Mnie jątrzy ta niema spokojność
Jaką nasz naród obleka w niedoli,
Każda męczarnia coraz mniej go boli,
A po zniewadze krzykiem nie ochrypia,
Ale się tuli w martwą bogobojność
I w cichym płaczu jak dziécię usypia,
I tak mu miła sumienia swoboda
Że śni pogodnie, błogo — jak ta woda.
A przecież w głębi jego niby w trumnie
Drży blask duchowym księżycem odbity
Podobny złotej na wodzie kolumnie;
Lecz żeby naród poruszył te świty

I je na gwiazdy w kół siebie rozpryskał,
I z tą girlandą i leciał i błyskał,
Trzeba go zbudzić z błękitnych omamień
Choćby rzucając potępienia kamień!

On się po chwili rozłożył na darni
W zapadnem miejscu, gdzie dąb rosochaty
Nie wpuszczał światła niebieskiej latarni
Ni nocnych wiatrów — i mówił:

«Niech światy
Gasną jak w bitwie niecelne granaty;
Niech wzdęte morze złamawszy zapory
Przebiegnie ziemię jak koń dziki, skory;
Niech gorzej morza Dżengis-chan lub Marat
Krwi jeziorami wygładzi ją wszędzie:
Wierzę! że jeden zostanie Ararat
Zielony, wzniosły — a Polska nim będzie!

Wszak nierozsądny kto po rynkach chodzi
I taką wiarę dla gawiedzi głosi,
A tak czynicie wy spiewacy młodzi,
Zaden tej wiary w pokorze nie nosi,
Lecz ją jak szatę godową odziewa
I co anioły szeptają — on śpiewa!
Gminowi z dala od wielkich tajemnic,
Bo ich nie pojmie, nie przekroczy ciemnic,
Ale pragnący i niesyty cudów
Weźmie pochopność do życia bez trudów,
I zaślimaczy się i zleniwieje
I co wziął, synom przekaże: nadzieję!
Toż milszy dla mnie zgiełk szlacheckich kłóteń
Niźli prorocze granie miękkich luteń,

Gdy przez fałszywą półanielską smętność
Nie siłę budzi ale obojętność,
I nieraz ludu zzwierzęconą głowę
Niegodnie stroi w blaski Chrystusowe,
I po łzę każdą do pyłu się zniża
Aby ją uczcić jak ofiarę krzyża.
Ty słusznie sarkasz, że polska kraina
Zamiera senna bezczynnością wrogą,
A ja ci powiem w czem jest snu przyczyna:
Pieśń nie pieluchą ma być — lecz ostrogą!

Straszne ja rzeczy widziałem na świecie,
Bardziej straszniejsze słyszałem powieści,
Wszak ich smętnemu nie oddam poecie
Bo mi znieważy powagę ich treści;
I takie orły ze wzrokiem surowym
I z krwawą piersią i z głosem spiżowym,
Co hasła boju roznoszą w piór chrzęście
A dzieci uczą drobne ściskać pięście:
On czuły śpiewak ze sztuką ubierze
W jakieś błyskotne, zwrotnikowe pierze,
I może zechce, co Bóg nie przebaczy,
Na łzy rachować u miękkich słuchaczy.

W tobie jest młodość ze siłą i zdrowiem
I słuchać lubisz — to ja ci opowiem
Kilka scen strasznych z mojego żywota;
A co usłyszysz, kiedyś pieśnią zamień
Na młot forteczny co mury druzgota,
Na dzwon co woła, na piorun co wstrząsa;
A jeśli trzeba, niech pieśń się natrząsa,
A jeśli trzeba, niech pada jak kamień!»

I niezważając żem wyciągnął ręce
Aby go czule uściskać w podzięce
Za dobre rady i przyjaźne chęci,
Powstał i zniknął w gąszczu blizkich krzaków.
Przez chwilę słychać było szelest pręci,
Potem trzask głuchy targanych łomaków,
Aż wrócił zgięty, obarczony chaszczem;
Podłożył ogień, owinął się płaszczem
I rzekł: Jam gotów — a masz czas, to słuchaj;
Wskazał na żagiew: A czasem podmuchaj.

«Siedziałem w Permie rok jeden i drugi,
A powiem tobie, czas mi nie był długi;
Bo w ciemną otchłań za mną, za wygnańcem
Pobożna żona poszła z dobrej woli,
I przed cierpieniem stanęła mi szańcem,
I weseliła jak na własnej roli.
A żony takie li w Polsce się rodzą!
Piękne, a więdnąć przeznaczone młodo,
Nie jedne w Sybir za mężami chodzą,
A nieraz z sobą i dziateczki wiodą,
By w obcej ziemi być ojczyzny echem
Swoją miłością i dzieci uśmiechem.

Ulicą długą, szeroką, samotną,
Stały mieszkania więźniów, chaty nizkie;
A były okna ich tak ziemi blizkie,
Że całe światło zabierał przechodzień
Jeźli szedł ścieżką mniej od drogi błotną.
W takich to chatach, zwykle w innej codzień,
Bywało wszyscy schodzim się z wieczora,
I jak bociany gwarzym na obłogu.
A gdy nadejdzie rozejścia się pora,

To długo jeszcze stoimy na progu,
Patrzący w niebo szklanne, wyiskrzone,
I pochyleni nad głowami dziatek
Wołamy głucho: Polsko nasza, Polsko!
I z tem imieniem usypiają one,
Ochrzczone wiarą ojców, łzami matek.

Wygnanie nasze było apostolską
Misją; tam ludzie stawali się lepsi
I sercem czulsi i na duchu krzepsi,
Kędy my przeszli.

Raz siedząc przy oknie,
Puszczałem myśli po tem czarnem włoknie,
Które prząść umie więzień i wygnaniec —
A wtem idący jakiś obszarpaniec,
Sałdat moskiewski, ten Job bez narodu,
Co na wystawie lub na carskiej mustrze
W niezwykłym musi okazać się lustrze
A wiedzie życie nędzy, wzgardy, głodu:
Popatrzył na mnie, nagle się obrócił
I w koło okiem niespokojnie rzucił
I wbiegł do chaty; we drzwiach stanął prosty,
Pozdrowił Bogiem i wpycha w zanadrze
Rękę skośniałą; na ten ruch ja zadrzę,
Po mojej żonie uderzyły osty,
Sądzimy że to posłannik z ukazem;
A on ze szmaty rozwinąwszy pakiet
Cicho przemawia: «Wot pismo i grosze
Z Polszczy od waszej matuszki przynoszę»;
Więc głośnym krzykiem odetchniemy razem
I do Moskala biegniem pędem rakiet.
A gdy ze łzami porwę go w ramiona,
Na czoło złożę bratni pocałunek,

To biedny sałdat drży u mego łona,
Chwieje się, jakby rozmarzył go trunek,
Jakby go olśnił jakiś świat nieznany
Jak na obrazie piękny, malowany;
Aż mu wypadnie z zamglonego oka
Łza dawna, ciężka, wyrwana z głęboka,
Wtedy to oko tak świetnie się żarzy,
Że on widomie pięknieje na twarzy.
Biedny! mil tysiąc niósł cudze pieniądze,
Głodny, a zwalczał kuszące go żądze,
Przecież o takiem nie marzył przyjęciu.
Toż wyszlachetniał tak w polskiem objęciu,
Że wszedł jak zwierzę, a wyszedł jak człowiek,
Poważny, śmiały, z pełną w sobie duszą,
Zdybując ludzi już nie spuszczał powiek,
Lecz wznosił głowę jakby mówiąc chrobrze:
Wbrew carskiej woli — uczyniłem dobrze!

Wiesz jakie skutki dla niego paść muszą?
Oto ten sałdat wnet uczuje wzgardę
Dla swego stanu, i za pierwsze harde
Słowo, pójdzie wleczony pod pałki;
A gdy mu ciało rozszarpią w kawałki,
Do dawnych karbów wróci z dzikiem czołem....
Lecz nie zapomni — że raz był aniołem!»

„Straszna to władza gdy sumieniem włada,
I choć nie zniszczy człowieczego ducha,
Takim go ślepym postrachem obsiada,
Że na jej rozkaz wzdryga się — a słucha.
Car taką władzą ugniata lud mnogi;
On jak pogański Bóg zachmurny, srogi,

Na swą cześć jękiem napełnia pustynie;
Toż mimowolnie kędy okiem spocznie,
Tam jakieś serce krwawi się widocznie,
A kędy ręką wskaże — człowiek ginie!
A nawet jeźli kogo umiłuje
Temu na przyszłość upadek gotuje.
Więc najszczęśliwsi ci, co zdala żyją
Od jego oka i łask i pokuszeń;
Toż ludzie w ziemię jak krety się kryją,
A ziemia pełna niespodzianych wzruszeń
Z każdym dniem dalsze rozciąga podkopy,
Aż się zachwieją nieraz carskie stopy.
Car wie, że wiele duchów mu uciekło
Z pod władzy — one w ukryciu się plemią;
Lecz jak ich szukać, jak znaleźć? Pod ziemią!
I car z powagą nosi w sobie piekło.
Wszak nieraz nocą straże pałacowe
Truchlejąc słyszą jego senne krzyki:
„Tron mój! gdzie tron mój? Już są podkopniki!“
Już są! Wam młodym to słowo wróżbowe
Ziści się; ujrzysz jak te duchy zmierzchu
Wyrzucą ziemię — i staną na wierzchu!

r. 1851.

PODRÓŻ PRZERWANA.

. . . . W konnej artylerji,
Przy trzeciej harmacie, dziewiątej baterji
Znałem porucznika; ze świata ubóstwa
On wyniósł i w duszy przechował dwa bóstwa.
Za młodu na Litwie, gdzieś w zaścianku leśnym
Pokochał on srodze pannę Małgorzatę,
I miał się już żenić — u nóg przyszłej żony
Spoczywał tak słodko w letargu niebiesnym;
Aż przyszła ojczyzna strapiona po ratę
Krwi jego — więc powstał i poszedł w legiony.
A z bitew gdy wrócił, już Miłej nie zastał,
Bezkwietnym badylem grób dawny zarastał
I krzyżyk nadpruchniał. Na świat się zachmurzył,
Ze strzelbą i z troską w puszczach się zanurzył,
Tam strzelał niedźwiedzie z rozpaczy — a tużył.

Niedługo mu ciemne smakowały lasy,
Bo młodość na jasnem, na marsowem polu
Przepędził — z tęsknotą wspomniał na te czasy;
I w końcu zabrawszy z sobą resztę bolu,

I z grobu garść ziemi i bukłak nalewki
Ruszył do Warszawy. Tam wojskiem Konstanty
Na saskim dziedzińcu wygrywał kuranty;
A więc się zaciągnął do tej pozytywki.

Warszawa w światowe bogata ponęty
Porwała wiarusa na śliskie swe stopnie,
I zaraz go żądze obsiadły natręty;
Choć oczy wbił w ziemię by stąpać roztropnie,
Choć wsparty pamięcią o bolesną stratę
Potknął się i zachwiał i wpadł w samołówkę,
Bo znowu ukochał — a kogo? — harmatę!
Na honor, nie kłamię — dwunastofuntówkę!

I patrzcie! z chmurnego wnet stał się promienny,
Szczęśliwy; zaledwie wybłysnął świt dzienny
Już biegł do harmaty, w koło ją obzierał,
I chuchał i dmuchał i plamy wycierał.
A potem błogości pełen i ochoty
Czychał na przechodnia; kogo tylko złapał,
Ten musiał podziwiać jej wdzięki i cnoty.
I zaraz lawetom dał nazwę sukienki,
Ustami zwał paszczę, czarnem oczkiem zapał,
A całą już ochrzcił swej zmarłej panienki
Imieniem. Ieżeli grzmi i ogniem zieje,
Porucznik powiadał, że ona się śmieje.
Przeciw Konstantemu zemstą się zapalił,
Bo nigdy na rewiach jej cnót nie pochwalił;
Toż w listopadową noc przy arsenale
Jego Ukochana pierwsza się zaśmiała.
Wielkie zachowanie miał u jenerała
W następnej kampanii: strzelał doskonale.
Często sam jenerał wskazał mu kolumnę
Do zbicia — z kolumny robiła się siatka;

On wtedy podnosząc czoło jasne, dumne,
Wołał: Jenerale! a co Małgorzatka!?

Podczas szturmu Warszawy stał na szańcach wolskich;
Dwieście harmat w nie biło ze strony Moskala,
Na Warszawę płynęła kul żelazna fala
A traciła swój impet tonąc w piersiach polskich.
Ach! tym piersiom posępne ciężyło przeczucie —
Jakby w nich brzmiały głosy złowieszczej Kasandry,
Nie zwycięztwa szukano lecz śmierci i chwały;
I pięknie lwy ginęły — narody klaskały!
Porucznik ze swem działem na przedniej reducie
Wysunięty — podobien był do salamandry,
Co chwila mu ubywał towarzysz harmatni;
A w tem działa ucichły, bębny się ozwały,
I kiedy nieprzyjaciół zjeżone bagnety
Szturmowym biegły pędem na szańce — niestety!
Padł od ostatniej kuli kanonier ostatni.
Sam został — lecz w poległych ducha swego przelał,
Dziesięć mu rąk przybyło — nabijał i strzelał,
I krwawą orał skibę każdą swoją kulą
Na moskiewskich mundurów płaszczyznie zielonej.
Strasznym był! z twarzą czarną, z podartą koszulą,
Z okiem groźnem, płomiennem, z spalonemi usty,
Z kawałem na zranionej głowie białej chusty
Wiejącemi końcami na wiatr rozrzuconej;
Strasznym był! kiedy w dymu siarczanego chmurze
Płonącym migał lontem jak piorunną wstęgą,
Potem rzucał z wysoka gromy, grady, burze —
Zdawał się sprzymierzony z tajemną potęgą
Jak zuchwały czarodziej, wzniosły opętaniec . . . .
Moskale z jawnem drżeniem darli się na szaniec,
Już blizko byli — działa nie można już nabić,
Chyba jaszczyk zapalić albo siebie zabić —

On nie myślał o sobie — on duszą poddaną
Żył dla tej, którą kochał i którą się szczycił,
Ją tylko chciał ocalić — młot i gwóźdz pochwycił,
Uderzył raz i drugi . . . . . wtem go rozsiekano!
. . . .

Otóż nasz porucznik w skutek tych miłości,
Człowiek zwykle cichy, miał wybuchy złości;
W jednej chwili zawrzał i klął niedorzecznie,
Jeźli jaką pannę kto chwalił zbytecznie
Lub działo nie jego. Te dwa ideały
I w sercu i w myśli tak mu się splątały,
Że w gniewu zapale obydwóch przymioty
Mieszał najpocieszniej. Obozowe trzpioty
Często przy ognisku, gdzie kotła pilnował,
(Bo porucznik także dzielnie kuchmistrzował,)
Wszczynali gawędę to o tem, o owem,
O bitwach przebytych, o życiu pułkowem,
Aż wleźli na działa; więc jeden dowodzi,
Że niechaj kto zechce całą armię schodzi,
Nie znajdzie nad działo w baterji Puzyny —
Harmatka niewielka, a pyszczek gadziny,
Kiedy ją grającą ujrzał Bem jenerał,
To skakał z radości, to ręce zacierał,
I mówił, że inne podobne do szaret,
Nie strzelać im w boju, lecz wozić lazaret.
W tem drugi przerywa: O działach, o bitwie
Czas bajać po wojnie; śród wojny koledzy,
Mnie sercem zawraca do ojcowskiej miedzy.
Ot plotą, że piękne dziewczęta na Litwie,
Bo Pińczuk je chwali; ach! perła niewieścia,
To moja jedyna dziewczynka z pod Brześcia,
Jej równej nie było i niema na świecie;
Błysnęłaż mi w oku podobna komecie!

Aż nagle porucznik wybucha: «Młokosy!
Półgłówki zielone, nieotarte nosy!
(Często było gorzej,) wam sądzić co piękne?
Myślicie że z Moją porównań się zlęknę?
Z Litwy była rodem, przez piekła otchłanie!
Niewinna jak dziecko, zgrabniejsza niż łanie,
A jaki tam zapał! a jaki kaliber!
Mniej włosów na głowie, co ona głów zmiotła,
By spisać ten rejestr, potrzeba sto liber —
Do krocset..» Tu wszystką zupę wylał z kotła.
«Do diabła wieczerza i wasze przyjaźnie!»
— Ależ poruczniku pofolguj... «Milcz błaźnie!...
A, pardon — bezkarnie nieznoszę afrontów...
Wyzywaj na rękę do kroćset stu lontów!»
I odszedł — a młodzież od śmiechu się kładzie.

I wy mnie za język ciągniecie ku zwadzie;
Cierpliwie, pokornie od godziny słucham,
Jak mi obce ziemie, nieba wychwalacie;
Jeźli porucznika trybem nie wybucham,
To tylko jedynie podziękować macie,
Że siedzę w salonie, a nie na harmacie.
Oh! bo i ja kocham, kocham bez podziału,
Tę ziemię wybraną, boleści i szału,
Tę ziemię serc miękkich śród wichrów i lodów;
Królowę trzech ludów, dwóch mórz, kroci grodów,
Wyniosłą i piękną w łachmanach ubóstwa;
Tę matkę zapartą, którą z dzieci mnóstwa
Najwierniej kochają: żołnierze i wieszcze —
I jeźli w swą przyszłość ona ufa jeszcze,
To tylko dla tego, że śród gwaru kłóteń
Dwa głosy ją krzepią: brzęk mieczów i luteń.

Jam żołnierz panowie — i kocham ją wiernie;
Nad róże sarońskie przenoszę jej ciernie,
Nad włoskie bakalie smaczniejsza mi rzepa:
Przyznajcie, że piękna to miłość choć ślepa.
Za słupy Chrobrego kroku niezrobiłem,
Niezwalałem nogi obcej ziemi pyłem,
Niezbrukałem piersi obcych nieb oddechem,
Dziewiczy wskróś jestem; patrzacie z uśmiechem?
Bierzecie zasługi moje za dziwactwo?
Nie sądźcie przed czasem — nocleżne my ptactwo!
I kiedy za groby poniosą nas loty,
Bóg mi te dziwactwa policzy za cnoty:
Wam każe w tęsknocie po gwiazdach uganiać,
Ja będę nad moją ojczyzną się słaniać!

Inni po Paryżach i po Neapolach,
Ja wojażowałem po ojczystych polach
Na koniu, przy dziale — ach, czemuż nie dłużej!
A znam Wawer! Dęby! Grochów! Ostrołękę!
W odmiennych zamiarach szliśmy drogą sprzeczną,
Toż odmienne straty ponosim z podróży:
Oni tracą nosy, a ja tylko rękę,
I to lewą rękę — niezgrabną, zbyteczną.

Wszak i ja kadziłem przy waszym ołtarzu,
I jam raz serdecznie zapragnął wojażu;
Byłem bardzo młody, w głowie mi świtało,
Gdy mnie ta gorączka napadła — o mało
W tych szalonych chęciach nie uległem zdrowiem,
A jak je przerwałem, właśnie wam opowiem.

Rodziłem się w czwartym roku tego wieku;
Świat cały grzmiał w trąby o jednym człowieku.
On z gwiazdą na czole a bez gwiazdy w łonie,

Zwycięzca zamętu, by nowy wnieść zamęt,
Krwią ziemię zalewał, nie w Boga obronie,
Lecz tylko dla sławy, w końcu dla zabawki.
Przed nim szła nadzieja, a za nim szedł lament;
Z tych ogniów ofiarnych co zostało? — Zgliszcze!
Z hekatomb kto zysk miał, kto? — Kruki i kawki!
Indyjskie na wielkim rydwanie bożyszcze,
Bezduszny poświęceń czystych poniewierca,
On jechał w tryumfie przez wierzące serca,
Pokłady ciał ludzkich gruchotał zuchwały,
Aż spoczął na skale ten olbrzym ze skały.
Oh! grzeszna, poddańcza ślepoto pogańska!
Co gardzisz pokorą, każdą pychę głaskasz,
Co sile hołdujesz, powodzeniu klaskasz,
Kiedyż twe sumienie zjaśni łaska Pańska?
Kiedyż swiatło ujrzysz, nie w błyskaniu złotem
Geniuszu lub sławy, lecz jedynie w cnocie?
Kiedyż siłę uznasz, nie w groźnym łoskocie,
Lecz w cichym szeleście? — Wszak mowa nie o tem.

Oh! swoboda dziecka, to swoboda ptaka,
Rok, czy dzień, czy chwila, kropla-to jednaka;
Ja biegam po łące, albo w piłkę zagram,
A ten dzień mój jasny — nazywał się: Wagram!
Raz w późnej jesieni strumień w lód się ścina,
Ślizgam się — dzień cały mija jak godzina,
A dzień mej radości — zwał się: Berezyna!
Świat czy się weseli, krwawi się, czy płacze,
Jednako ptak śpiewa, dziecko równie skacze.
Lecz żegnaj swobodo! rok i drugi jeszcze,
A już mnie historja porwała w swe kleszcze;
W cichym naszym domku jawią się wąsacze,
Ludzie różnej broni, powagi i rangi,
Żelazne ogniwa z rozbitej falangi,

A każdy z nich siarki dorzuca po szczypcie
Na żar mojej duszy: ten o Saragosie,
Ten prawi o Włoszech, tamten o Egipcie,
Ten swój krzyż pokazał, ów odkrył swe blizny,
A inny zapłakał na imię ojczyzny;
To znów gdy rozmarzy ich księżyca promień
Chórem pieśń wojenną puszczają po rosie....
Zanadto, zanadto orkanowych wrażeń
W gorącą mą duszę dęło — buchnął płomień!

Chodziłem jak w ogniu z całą świtą marzeń,
Do nauk, do zabaw nie było ochoty,
I ciągle mnie rwało gdzieś za sielskie płoty;
Straciłem apetyt, sen, humor — pobladłem,
I z łaski wąsatych moich oratorów
Nakoniec obłożnie na zdrowiu zapadłem.
Nieboszczyk mój ojciec kochał mnie nad życie;
Zmartwił się nieborak, naściągał doktorów:
«Bierzcie całe mienie, a ratujcie dziécię!»
Doktorowie siedzą, radzą — i zwątpili;
Zmieniają lekarstwa — gorączka nie stygnie;
A ja ciagle jęczę i wołam w malignie:
«Ach ja tam pojadę, tam gdzie oni byli!»
Więc oni do ojca: «Panie — desperacja!
Rózga nie pomoże, bo mocna fiksacja —
Trza jechać.» — Moj ojciec płazem wziął tę troskę,
Wnet wyrobił paszport, wydzierżawił wioskę —
I ze mną na wojaż.

Na stu koniach jadę!
Każdy dzień zarumienia moje usta blade,
Sieje mi blask do oka i przysparza siły.
A jedziemy rodzinnem Podolem; mogiły
Z łona pól wstają — na nich posępny, samotny

Siedzi orzeł, tych grobów wysłannik powrotny,
Sprawia się z odbytego przed braćmi poselstwa.
Gdzieniegdzie przezroczysta, niewielka dąbrowa,
Kędy mnóstwo słowików nosi się i chowa,
A ona pełna jęków, pieśni i anielstwa
Stoi u mogił ni-to chór pogrzebnych płaczek.
Ciągnie się łan za łanem, obszar za obszarem,
Z jeziorek dolatują gwary dzikich kaczek,
Zresztą głucho; niekiedy równia się urywa,
Droga wężowym ruchem po kamieniach spływa
Do rzeki, co z poważnym szúmem płynie jarem.
Jakież-to ona brzegi wygniotła ciężarem!
Piętrzą się skalne ściany, a na litych skałach
Sterczą zamków zwaliska; nieraz cichą nocą
Rozlega się grzmot w górach jak po samopałach,
Huk podobny taranom gdy mury druzgocą,
Zdaje się że zamek wre szturmem: to arkada
Pękła — i tym hałasem żegna świat i spada
Do wody zapomnienia. Kiedy księżyc blady
Srebrnem światłem spustoszeń pozaciera ślady,
Każemy stanąć koniom, do ruin idziemy —
Tam w zamkowym dziedzińcu siadamy na głazie,
A ojciec mi przed duszę obraz po obrazie
Ze starych kronik rzuca; i w ówczas ten niemy,
Ten śpiący zamek, dla mnie napełnia się wrzawą,
Jacyś ludzie stąpają zbrojni i w żelazie,
Inni jak w sufit mieczem biją pod murawą —
Słyszę ich! drżący, ręką po mem czole wiodę,
Serce mi bije głośno ... Złote serce młode!

Tak w pobożnej pielgrzymce stąpający skromnie
Po ziemi, co jak święta przemawiała do mnie,
A zdrowszy, bo uczuciem oddychając zdrowem,
Zwiedziłem kawał kraju. Staję za Tarnowem

Mój ojciec kazał zjechać z gościńca, a właśnie
Słońce kładło się do snu jasne, uroczyste,
A niebo było ciche, marzące i czyste
Jak me serce. Mazury na koniach hałaśnie
Krakowską ciągnąc zwrotkę na noclegi lecą,
W takt pieśni brzęczą kosy ostrzone na łące;
Opodal widać sioło — nad strzechami sioła
Roztacza się mgła biała jak skrzydło anioła,
A nad nią blachy krzyża jak gwiazdy wschodzące,
A pod nią szyby chatek jak łzy ludzkie świecą.
Ten widok tajemniczym upoił mnie czarem,
Gorętsza mi po żyłach przebiegła krew rwista,
Popatrzyłem na ojca — on w tle wioski szarem
Utopił łzawe oczy, a wyraz tak rzewny
Miał w twarzy; chwilę jeszcze waham się niepewny,
Nagle krzyknę: To Swierczków! — «Świerczków, moje dziecię,
Tutaj twoi przodkowie mieszkali lat trzysta,
A dziś nie wiem kto mieszka.» — Rodzinne tradycje,
Wszystkie, któremi ojciec młodość moją bawił
Wstały w mojej pamięci — i było mi błogo
Jakby mnie zmarłych ojców rój pobłogosławił.

Naszem szczęściem we dworze nie było nikogo:
Państwo, służba, ekonom — wszyscy do Krakowa
Pojechali — na kiermasz, jak nam kuchta prawił;
Więc wszelaką nam wolność gospodarz zostawił:
Chodzić, patrzyć, zaglądać — gdzie, ile się chowa
Po zgasłych pokoleniach pamiątek i wieści,
Co mieli tu rozkosze swoje i boleści.
Fundacji jeszcze dziada stał dworzec dębowy,
Widać że stary, lecz jak starzec czerstwy, zdrowy,
Posiwiał pleśnią wieku, nie pochylił głowy.
A obok osłaniały tę piastową chatę,
Lipy krzywe, zgarbione, w dole mchem kosmate;

Na jednej z nich rzezany w korze częstochowski
Wizerunek; tuż ciągnął się wirydarz włoski —
Dwa tylko miał po brzegach szpalery z grabiny,
A i w tych już przestronne świeciły łysiny.
Prawy szpaler prowadził na cmentarz arjański —
Pagórki grobów dawno pochłonęła ziemia,
Jednak było w powietrzu coś, coś — co oniemia
I każe mimo woli szeptać Anioł Pański.
Przodkowie moi obce przejęli «nowinki,»
Ojczyste zachowawszy cnoty i uczynki —
Ztąd kto w polu nie zginął, grzebał się w ogrodzie;
Tu spali w własną ręką sadzonych drzew chłodzie,
Wśród gwaru wnucząt, które biegają i rosną,
Nim kiedyś unużone życiem przy nich posną.

Milczący, posępny szedł ojciec przez grzędy,
Ja za nim — lecz moje hamował zapędy,
Bo stawał przeczęsto; czasem czoło potarł,
Albo się boleśnie uśmiechnął i głową
Pokiwał, niekiedy ukradkiem łzę otarł;
I tęskno mi było tak z myślą jałową
Iść za nim — i dotąd jam drogę zabiegał
I oczy ku niemu podnosił ciekawe,
Aż mi z tych uśmiechów i z tych łez zdał sprawę.
Więc zmrokiem, gdy dzwon się za zmarłych rozlegał,
On mówił o zmarłych; ja znowu acaństwu:

Mój pradziad, sól w oku całemu arjaństwu,
Bo błędy na starość odprzysiągł kacerskie,
Pół wieku prowadził rzemiosło rycerskie;
A mówią, że dziki był w wojnach i skory
Na karkach bądź jakich złe spędzać humory.
Proszącym na klęczkach pardonu nie dawał,
Na życie bezbronnych w swej pasji nastawał,

Tak w mordach lubieżył, tak we krwi się pluskał,
Że hetman go gromił: «Ej waszmość mi bredzisz,
Zbiesiłeś się iście, zanadto krwi cedzisz.» —
On śmiał się i ręką skrwawioną wąs muskał,
A drugą na własne pokazywał blizny;
I w takich zabawach doczekał siwizny.
Aż nagle zaczęło szwankować mu zdrowie,
I kiedy już niemoc zsunęła go z siodła,
Pożegnał swe znaki i osiadł w Świerczkowie.
Tu czarna posępność nad nim się rozwiodła —
On człowiek potęgi, działania i buty,
Bezwładny na nogi, do krzesła przykuty,
Weseląc dnie swoje żołnierską pieśń śpiewał;
A noce nie lepsze, bo ze snu się zrywał
I wołał i krzyczał: «Precz, precz krwawe mary!»
Snać gorsze niż w nogach miał w duszy ciężary.

Sprowadzi anioła kto w bolu go woła;
Duch wznosi się wyżej, czem głębiej się zniża;
I on potępiony, samotny i chory
Wyjaśnił swe wnętrze blaskami pokory,
I kazał się zanieść w święto do kościoła,
I tam przed ołtarzem leżał znakiem krzyża —
A potem publicznie przed tłumem gromady
Uczynił swą spowiedź spłakany i blady,
I błagał o odpust; kapłan się rozczulił,
Pospieszył ku niemu, do piersi go tulił;
A gdy do wiecznego przystępował chleba,
Przez okno w sklepieniu strzelił promień z nieba,
Lud szlochał i śpiéwał i cieszył się wiele,
Że z panem już w jednym modli się kościele.

I po tej spowiedzi odmienił się wcale,
Posażył klasztory, zakładał szpitale,

I stał już u Boga widocznie przy łasce.
W dzień jasny nie zdołał poruszyć się z krzesła,
Lecz kiedy wieczorna gwiazda się podniesła
I rozległ się odgłos zadusznego dzwonu —
Jak Łazarz zbudzony na Pańskie wołanie,
O własnej wstał mocy i wsparty na lasce
Cud żywy! szedł z dworca na środek gazonu;
Tam klękał — gwiaździany blask pięknie go zdobił,
I świecił do późna w swym białym żupanie,
Do późna się modlił za tych, których pobił.

Tak płużył staruszek łagodny i święty
W swej skrusze — i tylko nieznośne czuł wstręty
Ku wszemu, co dawną wspominało wojnę;
Więc w jego pancerzach koń jadał obroki,
Gołębiom dał hełmy — i ptactwo spokojne
Ścieliło w nich gniazda; o jakież-to głębie!
Człek krwawy, człek mordu hodował gołębie
Sam biały jak gołąb. Niezliczone stada
Ciągnęły nad domem jak białe obłoki —
Niekiedy ten obłok przechyla się, spada
I słoni obrusem dziedziniec szeroki.

Co ranku, szeptając ostatki pacierza,
Wyjeżdżał pradziadek ze swego alkierza,
Na krześle kolistem toczyło go z pracą
Dwóch rosłych hajduków — ciężkiego był ciała —
Przed gankiem na niego już służba czekała:
Więc najprzód gumienny — gumienny ladaco,
Co zawsze z niechęcią przynosił swe ziarno
I mawiał że zbiory przepadają marno —
Pochmurny stał z pełnym workiem i z przetakiem;
Tuż strzelców dwóch, w kurtach, z nabitym półhakiem —
Herbowa to szlachta, umyślnie trzymana

Na zgubę jastrzębi, a brała od pana
Za każdego trupa po dukacie w złocie.
Zaledwie pradziadek wjechał swą karocą
Przed dwór na murawę, już gołębi krocie
Zlatują się zewsząd, nad nim się trzepocą,
Śmielsze na ramionach siadają, na łonie,
Aż musiał staruszek o własnej obronie
Pomyśleć — więc krzyknie — i cała gromada
Patrząca mu w oczy ordynkiem usiada;
On ręką opatrzną dorzuca jej grochu,
Pod gradem łakoci znów wiele popłochu —
Objeżdża swoj naród, wodzi okiem bystrem
I z jednym ze strzelców mówi jak z ministrem.
«Na rany Chrystusa! a gdzież ów czubaty?
Waszmoście coś darmo bierzecie dukaty —
To Boże pospólstwo! to słodka czeladka!
Ja nad tem się trzęsę jak ojciec, jak matka...
Ej, bądźże mi czulszym wielmożny i miły,
Bo wtrącisz przed czasem brata do mogiły —»
Więc strzelec donosi, że właśnie ów grucha
Nad gniazdem samiczki, a ona go słucha —
Ztąd wolą samotność i przysmakiem gardzą;
Tą wieścią pradziadek ucieszył się bardzo.

Nim czarne nad krajem zahuczały burze
Powołał go Pan Bóg do światła i chwały
I został pochowan w Zbylitowskiej Górze;
W zakonnej sukience złożony na marach,
Gdy jechał w spokoju przy mnogich sztandarach,
Sieroce gołębie nad wozem leciały.
. . . .

Chowano sokoła razem z gołębiami!
Uczono go długo a wcześnie od puchu

Nie latać za sioło, powolnym być w ruchu —
Gdy poczuł moc skrzydeł — poszedł błękitami!

Choć go na mazgaja kierowano z dziecka,
Ozwała się w dziadku krew rzutka, szlachecka;
Jedynak, po ojcu fortunę wziął znaczną
I jak stan przykazał żył hucznо, dworaczno.
Z korzyścią skończywszy nauki mozoły
Przeszedł do burzliwej, sejmikowej szkoły,
Ztąd o nim mówiono, że wielka wątpliwość,
Co miał ostrzejszego czy szablę czy pióro,
Bo jednem i drugiem machał expedyte.
Ściągała też jego uczynna poczciwość
Z dziesięciu powiatów sprawy rozmaite;
Przyjeżdżał brat szlachcic, wita: «Góra z górą!...»
A resztę w siarczystym topi pocałunku,
I wnet o procesie o swoim frasunku,
Aż woła ze łzami: «Radź, ratuj Stolniku!»
Więc siedział najczęściej Stolnik — przy stoliku.

Gdy każda na Świerczków prowadziła droga,
Schodziło mu życie jakby na sejmiku.
Miał miłość u ludzi i łaskę u Boga
I ziarno w śpichlerzu i konie pod siodło,
I żonę pobożną i synów pod wąsem,
I wszystko jak z płatka jakoś mu się wiodło.
Raz w liczbie niezwykłej nadlecieli bracia
I w twarzy oblani radośnej krwi pąsem
Krzyknęli od bramy: Hej! konfederacja!!

Hej, konfederacja! zaszumiało w kraju —
Od brzegów bursztynnych po brzegi Nogaju
Gdzie domek niewielki kord dzwoni, koń parska.
O stosie płomienny! O ofiaro Barska!

Tyś pierwsza ku niebu powiała kadzidłem
I odtąd my cierpim wśród woni; krwi fala
Nie gasi tych ogniów — niech stos się dopala!
A Feniks potężnem podniesie się skrzydłem!

Za mojej bytności, w pokrzywie a w śniedzi
Stał jeszcze u wnijścia ogrodu piedestał,
Lecz za dobrych czasów samotny on nie stał,
Dźwigał on Atlasa, ten znown glob z miedzi;
Wieśniacy co pogan wymysłów nie znali
W swej złotej prostocie Jadamem go zwali.
We dworze u dziadka tak wrzało jak w ulu —
Radzono o rzeczy publicznej — o królu:
Czy tylko pogrozić, czy detronizować;
Więc nim w pole ruszą z chorągwią rozwianą
Przyjętym zwyczajem manifest pisano,
A że Moskal począł w okręgu grasować,
Na komin — wsadzono Mazura na czatę.
Nie kontent z tych długich pisanin — przed ganek
Wyleciał z impetem szaraczek-mopanek,
I w gniewie nasadził, poklepał rogatę,
I ręce w tył złożył, wąs w górę najeżył,
I z swoją niechęcią przed niebem się szerzył:
«Post festa manifesta! — ja zawsze powiadam —
Co siedzieć? co radzić? — manifest przy boku!
To sprawa tak czysta jak oko — powiadam,
Powiadam — a oni źdźbła szukają w oku;
Papiery na plaster, lecz wprzód ranę zadać!
Bij wiele, mów mało; bić! bić! a nie gadać!»
I dobył z jaszczura, i zaczął się składać,
A idąc tak naprzód gdy macha i hasa,
Jak w bramę kijowską uderzył w Atlasa.
Zhamował się szlachcic: «A co to? — powiadam —»
Ba! patrzy: figura — figura i bania —

Więc cofa w konfuzji, poważnie się kłania,
A głowę do warty zwraca na kominie:
«Słysz chłopie! a co to za święty?»

— To Jadam!

Lecz szlachcic był w jakiejś feralnej godzinie,
Nie słyszał; raz jeszcze powtarza pytanie —
«To Jadam!» — z całego gardła Mazur wrzaśnie —
Przez okno głów kilka wyglądało właśnie,
Więc rwetes, krzyk, hałas: «Tu jadą mospanie!
Kozacy już blizko — panowie, za szable!»
Piorunem sejm cały w podwórze wypada,
Gorętsi broń ostrzą i kulbaczą konie,
Kilku patrzy w komin i Mazura bada:
«Gdzie jadą? — a wiele? — no prędzej, mów djable!»
Chłopek coś tłumaczy, rękami rozkłada,
Lecz wrzawa go głuszy — aż i ona chłonie;
Więc rzecz się klaruje, wyjaśnia się chmura,
I wszyscy wracają do szklanek i pióra.

Och! dzieje człowieka, i narodów dzieje
Na dwóch tonach grają jak dramat Szekspira,
Jak jakaś szalona o dwu strunach lira,
Gdy jedna wciąż płacze a druga się śmieje.
Tym sprzecznym uczuciom jak uczynić zadość?
Płakać jest słabością — śmiać się, często grzechem;
Więc mędrzec idący przez świata otchłanie
Na wszystko pogląda z łagodnym uśmiechem.
Bo w takim uśmiechu jest smutek i radość,
I jest dla każdego gotowe pytanie —
Dla tych co się śmieją: czego się śmiejecie?
Kiedy może jutro poznacie się z łzami!
A dla tych co płaczą: i czego płaczecie?
Kiedy jutrznia błyska i Bóg jest nad wami!

Wesoło się działo u dziadka w Świerczkowie,
Tu kują żeleźce, tam topią ołowie,
Z lamusu odwieczne wyciągają bronie,
Luzaki przed domem nałamują konie.
Bo dziadek w ofierze wyprzedzić się nie dał,
Sauguszce z Tarnowa dwie piękne wsie przedał
I hufiec orężny dla kraju wystawił
I z dwoma synami w szeregu się stawił.
A gdy się pożegnał już z żoną i dziećmi,
To dobył siedzący na koniu szkaplerza
I oczy wzniósł w niebo: «O Matko! Ty świeć mi
Nad mojem tem gniazdem» — i palnął z moździerza
I ruszył z kopyta.

Wojował trzy lata,
Wskróś przebiegł ojczyznę i borem i polem,
Syn jeden mu poległ pod Krystynopolem;
I późną jesienią, co liściem zamiata,
Rozbitek, do domu wrócił jak liść zwiędły,
Zielone nadzieje już mu się wyprzędły,
Zpowolniał, osmutniał bardzo, zwiesił głowę;
Próżno go witają żona, dzieci zdrowe,
Próżno przyjaciele cieszą go najszczersi,
On głowy stroskanej nie podniósł już z piersi;
Otrutym był w sobie, gdy usta przyłożył
Do naszego żółci pełnego kielicha;
Szczęśliwy, bo wkrótce do trumny się złożył,
A twarz jego była boleśna — lecz cicha.

Kiedy już na bryczkę siadać nam wypadło,
Nadeszła gromada z sołtysami w czele,
Między niemi jedno półwiekowe stadło,
Któremu dziad jeszcze wyprawiał wesele.
I wszystko do kolan ojca się schyliło

I zaczęło prosić: «Zostań panie z nami,
Bo dobrze nam było z twoimi ojcami,
Z nimi naszym oczom pół słońca ubyło;
Zostań panie z nami, prosimy z miłością,
Niech znów nasze ręce zejdą się na łanie,
A głosy w kościele, a w grobie kość z kością,
To Bóg się ucieszy; o wykup nas panie!» —
Łzy mojemu ojcu puściły się strugą,
Jechaliśmy smutni — długo jeszcze długo
Ojciec twarz odwracał i na bok pozierał,
I nibyto czoło ze znoju ocierał —
Snać płakać przy synie miał sobie za zakał;
Bystre oko dziecka — widziałem, że płakał.
Od onego czasu gdy nasz protoplasta,
Towarzysz swawoli szalonego Piasta
Z rozdziczałem sercem, w okropnej przechwałce
Na Bożego sługę miecz podniół na Skałce:
Pogodzeni z Bogiem, pokutą obmyci,
Skłonni są do płaczu wszyscy Szreniawici.

Rozbudzona fantazja dziwnie we mnie grała,
Co też — to nie roiła moja głowa mała!
Raz wraz coś mi dudniło pod kołami bryczki...
Czy znacie wy panowie kopalnie Wieliczki?
Oh! was świata wędrowców prędzej niosła fala
Gdzieś pod grotę błękitną lub w jamę Fingala,
Niż nad brzegi wiślane; dawny to grzech człeka,
Wszystko mu milej pachnie i świeci — zdaleka;
Ale ja od młodości inny byłem zawdy,
Blisko siebie szukałem piękności i prawdy,
I znalazłem! — i dzisiaj chwili mego śnienia
Nie oddałbym za wasze choć wszystkie wspomnienia.

Chociaż w czytaniu wierszy nie jestem zelantem,

Przewodnika naszego porównałbym z Dantem:
Blady, kościsty, wiódł nas w otchłanie podziemne.
Ciągną się w różne strony korytarze ciemne,
To sklepią się nad nami ogromne kościoły,
Z których dawno uciekły światło i anioły,
A został cud budowy, czarnoksięzki, dziki.
Po rozległych ciemnościach snują się ogniki,
Jedne czerwonym błyskiem wręcz się zapalają,
Inne gasną, znów inne schodzą się i stają;
Istne duchy piekielne, nim nas ubezpieczy
Z tych świateł dochodzący głuchy głos człowieczy.
Nagle huk! jak gdy razem uderzą dział krocie —
Śród migotającego lampy oświetlenia
Zdawało się, że wszystkie spadają sklepienia,
Echami rozniesiony bije grzmot po grzmocie,
Z głębi pieczar wre ku nam jakiś krzyk donośny,
Straszny, dziki, rażący, choć niby radośny,
Postacie z bladą twarzą po pas obnażone,
Na kołpakach niosące płomyki czerwone,
Śmiejąc się i żelaznym wywijając drągiem,
Tuż przemknęły i w blizkim zapadły się lochu:
W przelęknieniu kamiennym stałem się posągiem,
Przewodnik rzekł: piękna gra! nie szczędzono prochu.

Przez cyple alp podziemnych, przez skalne rozłamy
I długim nad przepaścią zawieszonym mostem
Do zjeżonej kolcami dochodzimy bramy;
Ona czarna, wiekowym zjeżona porostem
Otwiera nam ulicę, tej każdy brzeg stromy
Wlecze się nagi, prosto — jako miejskie domy,
A w ich wnętrzu śród stękań słychać młotów kucie;
Patrząc na te zamknięte mieszkania ponure
W głębokiem przerażeniu strętwiało me czucie,
Myślałem że to duchy zaszczepione w skałę,

Bez światła, na pokucie pędzą wieki całe
I w szalonej rozpaczy rozrąbują górę.

Niby we śnie dantejskim pogrążony idę
Kręconemi schodami to w górę, to na dół,
W jednem miejscu na wielką trafiam piramidę,
Lecz nie miałem odwagi czytać jej napisy,
Które pewnie szydzące wykonały biésy.

Obszerniejszą przestrzenią roztacza się padół;
Jaka smętna, jak pełna żałoby dolina!
Nad nią swoje całuny wieczna noc rozpina,
A bokami na skałach szereg ogniów błyska
I ukazuje mury i baszty zamczyska.
Nagle te ognie pchnięte wszechmocnym rozkazem
Zerwały się jak ptaki, złączyły się razem
I lecą przez powietrze — wnet już są nad nami...
Jezus Maryo! w jeden straszny kłąb splątani,
Cudotworce czy widma, ludzie czy szatani,
Ryczą pieśni nieznane, trzęsą pochodniami
I podnoszą się w otchłań, duchy szybkopióre...
Jeszcze świecą, już znikli, snać zaszli za chmurę.

Coraz dzikszym parowem, posępniejszą drogą,
Śród pieczar, w których oczy utonąć nie mogą,
Za wiodącym kagankiem przyszliśmy nieskoro,
Nad czarne, żadną falą nietknięte jezioro.
Po jego brzegach chodzą ciche, zadumane,
Zapewne cienie, w białe płaszcze spowijane,
Inne siedzą na głazach, same nakształt głazów,
Milczą i dopatrują w toni swych obrazów;
Podobna do ciemnego ze stali źwierciadła
Woda odbija twarze ich i prześcieradła.
Przewodnik dał znak ręką — i wnet łódź przybiegła,

Wsiedliśmy w nią, a ona ślizką piersią legła
Jak wąż na szybę lodu i bez szmeru sunie;
A mnie się wydawało przy kaganków łunie,
Że cienie pozostałe na brzegu, ze drżeniem,
Długiem, tęsknem powlokły za nami spojrzeniem.
Przechyliłem się z łodzi — ot, ciekawość młoda,
Wody usty dotknąłem — jak łza słona woda,
Mogłem myśleć: te duchy pędzone rozpaczą
Tu schodzą się, na brzegach siadają i płaczą.

Ciężko mi było, duszno w tym podziemnym gmachu,
W nim jednego doznałem uczucia — przestrachu;
Jakże się ucieszyłem, kiedy nasz przewodnik
Wskazał nam na wierzch ziemi prowadzący chodnik,
Tam gdzie słońce, a na niem pogodny Bóg mieszka.
Lecz wprzód jeszcze uboczna powiodła nas ścieżka
Do białej, kryształami świecącej kaplicy;
Jak cicho! przed ołtarzem modlą się górnicy,
Jedna samotna lampa nad nimi się pali;
Tu oni wizerunek sobie wyciosali
Zbawiciela pod krzyżem upadającego —
I często tu wbiegają pobożni prostacy
I długo się wpatrują w męki Jedynego,
Ile razy na siłach upadną przy pracy.
Ja także utonąłem w modlitwie jak w Lecie,
I lżejszy zapomniałem o podziemnym świecie
Pełnym nocnych przerażeń, tajemnic i grozy.
«Szczęść Boże! w górę, w górę!» prężą się powrozy,
Wyciągają nas szybą; przed podróży końcem
Serce długo w grobowym zasępione zmierzchu
Wybiegło witać słońce — choć źle i pod słońcem.
Raz jeszcze zaglądnąłem stanąwszy na wierzchu
W ten otwór, co jak paszczę tajemniczej sfingi
Niegdyś rozwarł zaklęciem pierścień świętej Kingi.

Wątpię, czy wasze serca pukały tak mocno,
Gdy idąc ogrodową ścieżką, chwilą nocną,
Do najpierwszej kochanki, co czeka w altanie,
Garnęliście do duszy słowików śpiewanie
I nagle bielejącą sukienkę zoczyli:
Jak moje — kiedy ojciec siadłszy do powozu
Powiedział: do Krakowa ztąd półtora mili.
Nasz Kraków, to jak namiot wodza śród obozu,
To jak ołtarz ofiarny w ojczyzny świątyni,
Zkąd płyną do nas hasła, rozkazy i siły,
Gdzie każdy swoje śluby narodowe czyni.
Gościńce, co doń idą, ciągłe wznoszą pyły,
Napełnione pielgrzymów jednorodną rzeszą,
A zda się, że ruch mają, że wraz z ludźmi spieszą;
Pobożną uroczystość ludzie niosą w oku,
A konie z własnej woli podwajają kroku.
Są chwile, w których pierś się człowiecza rozrasta
I odtąd więcej wciąga uczuć i powietrza,
A dusza w niej zamknięta lotniejsza i wietsza,
A taką chwilę daje — widok tego miasta.
Och! wyleciałem naprzód miłością skrzydlaty
I na krakowskiem niebie wieszczych szukam znaków,
Czyli gdzie nie wybłyska łuna z aureoli
Tych zmarłych, co swą chwałą zadziwili światy...
A w tem ostatnia góra schyla się powoli,
Dwa kroki — i stoma wieżami wstał Kraków!

O nasza Jeruzalem! forteco duchowa!
Trzydniowa święta trumno żywiącego słowa!
Piękności twoje ziemskie w pył się rozsypały,
Zamilkły po krużgankach cytry i cymbały,
Na ołtarzach jaszczurki tanecznice skaczą,

Otwartych bram niewiasty pilnują i płaczą,
Wyschły twoje strumienie miodowe i mleczne...
A jednak wstań! tyś wielka! w tobie trwa co wieczne,
To co nad miody słodsze i nad mleko bielsze
Powstań! raduj się! odsłoń oblicze weselsze!
Niech sztandar twej radości po wszech wieżach wieje,
Bo masz skarb, do którego nie trafią złodzieje,
Bastiony twoje ludzkiej urągają mocy,
A straże odprawują na każdym — prorocy.
O trumno! ciebie strzegą napróżno żołdacy,
Próżno po twoim wierzchu pełzają robacy,
Próżno cię pajęczyna i pleśń trupia szpeci,
Już twojego zamknięcia kończy się dzień trzeci!
Anioł-budziciel szumi skrzydłem niedaleko,
Spłynie, dotknie cię stopą — i pęknie twe wieko!

Kto mi określi, kto mi opieśni,
To, co i wieczność nie prześni!
Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów
Spłynęły w chór Serafinów.
Schyliłem czoło w pobożnej skrusze
I w mury wstąpiłem grodu,
Kędy za naród kładli swą duszę
Opiekunowie narodu.
Sto wież tam wita słońce wschodzące,
Wznosi hejnały pochwalne;
Dawniej, to ręce światu grożące —
A dziś, to ręce błagalne.
Zwiedziłem stary zamek uroczy,
Kościoły i dawne domy,
A w tych przybytkach przed moje oczy
Stawał duch ojców widomy.
Myśl, co do głazów jak tynk przyległa,
Niewyczerpana bez krańców,

A słowo, które wyłania cegła
 Przechodzi w piersi mieszkańców.
Niech nikt nie mówi, że przeszłość mglista,
 Lecz że źrenica nie czysta;
Niech nikt nie mówi, że kamień niemy,
 Lecz że nie wszyscy słyszemy.

Ze czcią nie w jedną zajrzałem trumnę:
 Czoła pogodne, rozumne,
Dłoń na żelazie oparta chrobrem,
 Serce aniołów pod ziobrem.
Z jakiem uczuciem konali Starzy
 Na ich obliczach się znaczy:
Jasna powaga patrzy im z twarzy:
 A gdy ból — to bez rozpaczy.
W dzisiejszych trumnach jaka namiętność,
 Jakie niespokojne śnienie!
Często głupota i obojętność,
 A gdy ból — to i zwątpienie.
Hej! inny żywot tamci pędzili,
 Żywot świąteczny, wesoły:
Sprawiali uczty, za kraj się bili
 I budowali kościoły.
I w tych kościołach śpią teraz błogo,
 W rajskie ubrani uśmiechy,
Bo ziemia wielbi ich pamięć drogą,
 A Bóg przebaczył im grzechy.
Żółciąby zaszło serce anioła,
 Zgrozaby siadła śród czoła,
Dłońby pomknęła do karabeli
 Gdyby nas nędznych ujrzeli!

Kto mi określi, kto mi opieśni,
To, co i wieczność nie prześni!
Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów
Spłynęły w chór Serafinów.
Zdobyć się daje wiara wielmożna
Sercem dziecięcem, prostaczem,
A ojców z grobu wywołać można
Jedynie synowskim płaczem.
Jam ich wywołał! i wszyscy razem,
Wszyscy stanęli przedemną;
Jak z relikwiami, z tym ich obrazem
Chodzę i żegnam moc ciemną.
I więcej wieszczej, twórczej żałoby,
Więcej duchowej potęgi,
Dały mi w ówczas mury i groby,
Niż później ludzie i księgi.
Mamże wystawić skarby zdobyte,
Duchy wyniosłe, to smętne,
Świętych wesela, rany odkryte,
Przed oczy, co obojętne?
Wolę je wszystkie zagrzebać w sobie,
Niech spoczywają jak w grobie;
Z chwały i z cnoty ojców obdarci
Wyście ich dziejów nie warci!

Może pozornie, może w chęciach stalszy,
Ojciec ze sobą ciągnął mnie w świat dalszy,
A łzami serce, mgłą zaszła mi głowa,
Kiedy mi wieże zniknęły Krakowa.
Toż choć na ulgę mój duch rozżalony,
Czepiał się ruin Tyńca, Lanckorony,
Piął się na szczyty Tatrów niebotyczne;

Ale gdy słupy ujrzałem graniczne
I te przestrzenie dalekie a ciemne,
Gdzie wszystko obce, wstrętne i odjemne —
A tuż za sobą zostawiałem w krasie
Ojczyznę, co jak matka ze mną zna się,
Co wnet z kolebki w lata niemowlęce
Biała jak anioł wiodła mnie za ręce,
I słodkie ku mnie nachylając lica
Oprowadzała małego dziedzica
Po swoich skarbach i cokolwiek miała
Nazwała słowem i udarowała:
To tak mej duszy zrobiło się smutno,
Jakby mnie gwałtem kto ręką okrutną
Od matczynego chciał oderwać łona.
I szyję ojca ująwszy w ramiona
Rzekłem: Mój ojcze! każ nawrócić konie,
Nic tam nie znajdę, a co mam — uronię.
A ojciec: «Synu, uściskać cię muszę,
Boi się straty, kto pełną ma duszę.
Śród pól ojczystych kto chodzi o głodzie,
Nie będzie syty w egipskim ogrodzie;
Czyja pierś w własnej ojczyźnie zaskrzepła,
I pod równikiem nie uczuje ciepła.»
To mówiąc moje ucałował czoło;
Wracamy — a mnie lekko i wesoło,
Trawkę przy drodze, liść na drzewie witam
I w każdym liściu powitanie czytam.
I odtąd ojciec już miał we zwyczaju
Co roku wozić mnie po polskim kraju;
Każdą piędź jego znam jak własne grzędy,
Gdzie władza Polski sięgła — byłem wszędy.
Ach! pokochałem tak ojczyznę piękną,
Że mnie się kiedyś aniołowie zlękną,

Jeźli przed nimi moja dusza wyzna,
Że mi nad niebo milszą jest ojczyzna.
A moja miłość, to nie marne słowo,
Myślą i czynem i sercem i głową,
Każdą ją chwilą życia mogę dowieść...
A wy panowie, czem? — Skończyłem powieść.

r. 1853.

POGRZEB KOŚCIUSZKI.

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość gorująca
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot w boleści,
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie! wraca w trumnie hetman ukochany!

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą;
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniej szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie — szlochająż jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci,
To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc wykrzyka:
«Koso nasza! choć zdaleka patrz na Naczelnika!» —

O, panowie! zróbcie miejsce — niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi;
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

*

I na Wawel między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia złotem nabijana;
U jej progu stanął Kmita i «co zacz on» pyta —
Swój! swój! świętszy od waszeci — puszczaj mości Kmita!

Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli,
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: «Ja, Król chłopków, rękę ci podaję,
Wzdy obadwaj my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!»

Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław święty:
«Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,
Jeźli prawda, że krzyknąłeś raz: Finis Poloniae.»

Na to hetman: «O, mój ojcze! choć sercem przelękłem
Zanurzałem się w boleściach — tych słów nie wyrzekłem!
Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięła,
Z czego wkrótce pieśń urosła: Jeszcze nie zginęła!»

*

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybili
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, stają przed kościołem.

Na ambonie krasomowca, nie kapłan natchniony,
Krągłe słówka i świecące wyseła z ambony,
I sukmanę coś hetmańską bramuje i złoci,
W obec trumny coś wspomina — o carów dobroci!

Hej hetmanie! hej jedyny! całun z siebie ściągaj!
Zwróć się twarzą do kapłana, rzeknij: «Nie urągaj!
Patrz na lud ten, co w dziedzińcu przy twoich słów chrzęście,
Płacze za mną, modli Bogu — ale ściska pięście!»

Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczono;
Wrócił szeląg petersburgski do swojej wypłatni:
Legł u wrogów król ostatni — daj Boże ostatni!

Ten, co z pługiem może chodził w ubóstwie za młodu,
Spoczął w króla katakombie — hetman, król narodu!
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: «Och, już go zamknęli!»

*

«Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy;
Ciemność sklepień, blask pozłoty serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach!

Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,
Co dnia ptakby ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,

Tybyś cieszył się z jej brzęku choć śpiący i niemy —
Cóż dopiero kiedy kosy na sztorc nabijemy!

Jeźli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie,
Trudne pisma na nagrobkach mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę — a czyja to? — spyta.“

Tak lud żali się i marzy — urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa —
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha!

*

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona? cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli... „Hej, do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
Więc tę ziemię krwią przesiąkłą bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament.“

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopi i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przekazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: „Wyżej, wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie...“
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...

I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą: Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — a zostanie: Mogiła Kościuszki!

r. 1853.

OBJAŚNIENIA.

JASNOWIDZA NIE ZWABIŁY UWODZĄCE WIEŚCI.

Jednym z najpiękniejszych rysów czystej, do jasnowidzenia podniesionej duszy Kościuszki, jest jego sąd o Napoleonie. Kiedy pół świata łechtane przez nowożytnego Cezara sławą lub nadzieją, otaczało go uwielbieniem; kiedy drugie pół rozdrażnione bojaźnią lub prześladowaniem, wrzało ku niemu nienawiścią: Kościuszko jeden, sędzia bezstronny, duch cnoty i poświęcenia, ocenił moralną stronę człowieka wieku i — pogardził nim. Napróżno wielki kuglarz, genialny samolub, to podchlebstwem, to groźbą chciał zmusić wychowańca Washyngtona do oddania się jemu za narzędzie. Ręka despoty przyzwyczajona giąć wosk miękki, trafiła na żelazo. Więc Napoleon fałszuje w r. 1806 proklamacyę z podpisem Kościuszki i z tem imieniem jak z rozwiniętą chorągwią wkracza do Polski. Pod tą chorągwią stanęło w krótkim czasie kilkadziesiąt tysięcy nowego żołnierza. Kościuszko mieszkający naonczas blizko Paryża, strzeżony przez stuokiego Fouchégo, nierychło dowiedział się o tem oszustwie, a dopiero w r. 1814 był w możności umieścić po dziennikach swoją pełną oburzenia protestacyę.

A HEN Z TYŁU CHMURA CHŁOPSTWA...

„Starzy wysokiej rangi wojownicy nieśli trumnę... poczem następowały: Generalicya, senat, duchowieństwo i obywatele. Lud zamykał pochód.“ (Falkenstein.)

Jeśli gdzie, to na pogrzebie swego Naczelnika lud powinien był mieć pierwsze miejsce.

... TYCH SŁÓW NIE WYRZEKŁEM!

Finis Poloniae, słowo straszne, złowrogie; dające uniewinnić się zwątpieniem, które i najwznioślejsze duchy chwilowo przygniata, a jednak faktycznie niepodobne, aby mogło być wyrzeczone pod Maciejowicami przez Kościuszkę. Wiemy, że w końcu krwawej tej bitwy pozostała garstka Naszych,

w rozsypce szukała ocalenia. Kościuszko uchodząc na koniu, przedzierał się zaroślami i trzęsawiskiem; dognany przez prostych kozaków, skłuty i zrąbany, bez przytomności padł na ziemię. Szczegółów tych nie podaje nam żaden z Polaków, widać nie było ich w pobliżu; a kozacy opowiadający je przed Fersenem w obecności jeńców polskich, nie przytaczali żadnych słów upadającego Naczelnika. Toż i Naczelnik dla określenia swej rozpaczy nie używałby obcych wyrazów; każdy monologiczny wykrzyk szczerego, gwałtownego uczucia, tylko w ojczystej wyrywa się mowie. Zbytecznie rozszerzamy się z naszemi dowodami, zwłaszcza, że chcieliśmy jedynie umieścić następującą notę: W zbiorze Leonarda Chodźki w Paryżu, znajduje się list T. Kościuszki, w którym tenże oświadcza, iż nigdy przy żadnej okoliczności, przypisywanych jemu słów: Finis Poloniae, nie powiedział.

NA AMBONIE KRASOMOWCA, NIE KAPŁAN NATCHNIONY...

Tą strofą nie mieliśmy wyłącznie na myśli kaznodzieji przy egzekwiach Kościuszki; tem mniej chcieliśmy jemu samemu ubliżyć. Podzielał on ogólną prawie słabość tej części narodu, która rozrzutna w poświęceniach, nigdy nie ufała sobie, ciągle potrzebowała bożyszcz i z jedną pochopnością garnęła się do Napoleona, a później do Aleksandra, tak zwanego restauratora Polski. Imię tego kaznodzieji zatailiśmy umyślnie w naszym rapsodzie; bojąc się jednak, aby czyjakolwiek zbyteczna ciekawość, odgrzebawszy to imię, nie oddała je na poniewierkę, sami w tem miejscu wolimy je odkryć: Przy obchodzie pogrzebowym Kościuszki kazał ks. infułat Łańcucki, proboszcz kościoła Panny Maryi, ostatni protektor bractwa Miłosierdzia przez Skargę założonego, dotąd ze czcią wspominany dobroczyńca ubogich Krakowa; umarł 29. grudnia 1841. roku.

W MIEJSCE, GDZIE KRÓL CHCIAŁ SPOCZYWAĆ, HETMANA SPUSZCZONO.

W roku 1783 Stanisław Poniatowski, król polski, grób ten odnowiwszy, złożył w nim Jana III. zwłoki, a dla swych przeznaczył miejsce, w którem dziś stoi sarkofag z Tadeusza Kościuszki zwłokami. (Mączyński.)

KONFEDERAT.

URYWEK.

— Już z lasu? tak rychło? a jak tam? a co tam?
Ou! zmarzliście widzę; ot w kącie tam macie
Prawdziwą gdańszczankę — a dajcie relację:
Są dziki? — „— — — — — — — — — —
— — — —“ — Nie lubię konceptów niemieckich,
Na saniach pytałem, na saniach strzeleckich;
Lecz pono za grzechy wami się kłopotam,
O waszem myśliwstwie pisano szeroko —
Ej! żeby to nogi, a ręka, a oko,
Sam jeszczebym w lesie pokazał co umiem.
„— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — —“ — Ah! tak, to rozumiem,
Więc pole nieczyste, więc i szumna knieja?
Wraz zgadłem z komina, że będzie zawieja,
Wy ledwie za bramę, a wicher się zerwał...
„— — — — — — — — —“ — Waść mi przerwał,
Dodać jeszcze chciałem, że w podobnym razie
Należy pomyśleć wcześnie o nakazie,
Aby dzikom odwrót zagrodzić od Mełny —
Strzelcami obstawić linię — księżyc pełny
Wytrze niebo — pewna na jutro pogoda.
„— — — — — — — — — — — — —?“

— Miły kawalerze, za serce mnie chwytasz
Kiedy waść o zdrowie mego sługi pytasz —
Dziękuję za pamięć, zdrowa moja psina;
Ależ stara, stara — żeby ona młoda
Zagrałażby waściom! — Z jej prababką sławną
Jeździłem na Litwę, lat temu... oh! dawno —
Polowałem w lasach podobno Suzina,
A był tam Radziwił — za głowę się chwycił
Przy jej graniu; wkrótce listem mnie zaszczycił —
Miodem był pisany, prosił, świecił bakę,
Wieś a choć pół Litwy dawał za sobakę;
Odpisałem: „Książe! pies psem, Litwa Litwą,
A wieś u mnie książe, to jak włos pod brzytwą,
Dziesięć ich straciłem na psy i na knieje,
Gdy ostatnią stracę — miej wtedy nadzieję!“
I jak mi mówiono, trzy dni desperował,
Nie jadł, nie pił; — żal mi było nieboraka,
Lecz cóż, kiedy u mnie już natura taka.
„— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — —.“ Ho, waszmość spudłował!
I dzisiaj niech zjawi się drugi Radziwił,
Tę samę jak dawniej pokażę mu drogę.
I czego się śmiejesz? czegoś się zadziwił?
A na co fortuna — gdy strzelać nie mogę!
Toć przecie ta suka, to jedyny szczątek
Z lat dawnych a błogich; gdy do mnie przybiegnie,
To wbiega z nią razem czereda pamiątek;
A kiedy na łożu przy nogach mi legnie,
To mi się śni nocą, że usypiam w lesie
Z rusznicą przy boku a z głową na pniaku,
Że echo po górach odgłos trąbki niesie,
Pięćdziesiąt sfór gończych przy mnie się pokładło,
A strzelcy ognisko zażegli przy krzaku
I liczą po cichu ile zwierza padło.

A czy waść uwierzysz, że temu dwa lata
Obił to psie stare, ten urwis od świata,
Ten lizun półmisków, ten Niemiec Mykita —
Dwadzieścia łóz dostał — i miała być kwita?
Jabym go powiesił choć krzyżyk dziesiąty,
Gdybym nie szanował chleb i cudze kąty.
„— — — — — — — — — — — — — —“
Nie cudze, nie cudze! ot, szukasz napaści,
Jakem konfederat! dobrze mi u waści;
Milioner! a byłem w nędzy, w poniewierce
Nim ty otworzyłeś mi dom, ach! i serce...
Z miłością jak ojca przyjąłeś starucha;
A Jejmość? toż ona prawie na mnie chucha,
Strzeże mnie jej oko słodkie i staranne...
Chodź, niech cię uściskam — widzisz, łza mi cieknie,
No! zdejm ją ustami — prędzej, bo ucieknie.
„— — — — — — — — — — — — —
— — —.“ — Na ręce Jezusowe ranne!
Ja, prawo do serca?! — jakie miałem prawo?
Że w twojem sąsiedztwie chodziłem dzierżawą?
Żem tobie najlepsze plądrował dąbrowy? —
Do wrót twych stukając, cóż rzekłem? „Herbowy!
Z twym dziadem o jedną rąbałem się pannę,
Daj strzechę, bo zginę pod żydowską ławą!“
I dałeś; a cóż ja? — stary bałamutnik,
Za młodu nicpotem — impetyk — rozrzutnik —
Tfu!! — „— — — — — — — — — — — — —
— — — — —.“ — Jak się tu nie sierdzić!
Gdy lampa dogasa, to knot musi śmierdzić,
I starość ma swoje zgryźliwe humory;
Wasz dzwon na prymarię, a mój na nieszpory —
Wam igrać do słońca wesoło i butno,
A dla mnie zapada już noc — to mi smutno!
Po trzech pokoleniach chodzę ja w żałobie,

Kogo tylko sercem przypomnę — śpi w grobie!
Tak sunę przez groby, w mój grób — co otwarty...
„— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — —.“
Upiorem ja jestem — lubię być sam na sam;
Kiedy śród cichości w kątku siędę sobie,
Na błonia pamięci hej! jadę i hasam,
Hej! myśli ze smyczy wypuszczam jak charty,
Tumany, wir, tentent — aż w głowie się kręci
Wszystko się prześciga, przewraca, przetwarza...
A z takiej otchłani ratują mnie święci
Ci, co w kalendarzu; ja do kalendarza —
I patrzę: dzień taki, więc tego świętego,
Jest imię; więc idę na upatrzonego —
I z tego imienia wnet wstaje znajomy,
Moje z nim koneksje, jego parentele,
I myślą przechodzę staroświeckie domy
I łowy i bitwy, gdzie my przyjaciele
Razem swym żywotem bujali pokrewnie...
Aż we snach o świecie dzisiejszym zabaczę;
I człek się ubawi, uśmieje, upłacze,
A śmieję się głośno, a płaczę, to rzewnie,
Że nieraz ta suka od nóg mych odskoczy
I długo, ciekawie zagląda mi w oczy.
Czego ja nie świadom! miałby co literat
Spisywać na skórze — jakem konfederat...
„— — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — —.“ — O! o! obleśniki,
A już mnie ściskacie, kusicie staruszka?
Dla starszych mam powieść, dla dzieci pierniki;
Z całego sąsiedztwa zeszliście się licznie
I młodzi jesteście i prosicie ślicznie...
Dla gości tak zacnych powolny ja służka;
Patrz do kalendarza! siódmego dziś marca

Któż? — „— — — — —“ — Więc Tomasz z Akwinu —
Pan Tomasz.... z Akwinu... Tomasz... pamięć starca!
Uchwycić ją trudno... a potem się snuje
Bez końca... Ah!... Tomasz... biedny... młodzieniaszek...
Achilles! a dziecko... z Świerczkowa Tomaszek...
Tak młodo... przez zdradę... Poczekaj, psi synu!
Złotnicki!... przed Bogiem ja cię odmaluję...
Patrzałem na męki i krew..........
Och!...

*

Witaj moja jutrzenko — moja i narodu!
Konfederacjo barska! — z twojego powodu
Ja starzec, dziś wiośniane czuję w łonie blaski
A nad narodem dotąd drży twój promień łaski,
Promień złoty, anielski — przewodnik — obrońca —
Pocieszyciel i prorok szczęścia — zwiastun słońca!

*

Wieku olbrzymich przygód, wieku Homerowy!
Kiedy my kładli nasze skrwawione tułowy
I ciałka drobnych dzieci i żon piersi mleczne
Jak głazy nieruchome na mury forteczne;
Aby ten mur ojczyzny umocnić i podnieść
I co siłą nie można, to rozpaczą odnieść:
Przed zgrają barbarzyńców, co pod murem warczą,
Zasłonić i ocalić taką żywą tarczą
Świętości naszych domów i rodzinne groby.
Przeciw losom zawziętym, marne to sposoby!
My walczyli prostotą, prawdą staroświecką
Z bezlitośną przemocą, z chciwą zdradą grecką
I z zarazą, przed którą nie uchroni zbroja.
O Chryste! i tak legła nasza święta Troja!
W plon poszły nasze dzieci, domy idą w gruzy,
Świątynie przerobiono na brudne zamtuzy;

Krwią starców przywleczonych za włosy, wróg maże
Jeszcze resztkami ofiar dymiące ołtarze;
Pożarne ognie wznieca, a Boskie krwią gasi....
Oh! wy nam nie złorzeczcie potomkowie nasi,
Dla was to syny, dla was, z okropnej pożogi
Po gruzach i po trupach my wynieśli — Bogi!

*

Hej świecie! jak ty szybko zmieniasz barwy swoje,
Przebrałeś się, pobiegłeś naprzód — a ja stoję.
Jak po wielkiej powodzi gdy opadną fale
Zapomniany, samotny zostałem na skale;
Ot koncha, którą noga przechodnia potrąca,
Niby martwa, a przytkniesz do ucha — gwarząca;
Gwarząca do spragnionych szumem dawnej fali —
Rzucili ją — i poszli źródła szukać daléj...

*

Pół wieku! ledwie chwila! wszystko się zmieniło,
Wszystko przeszło, zapadło — i jakby nie było.
Nie powiem, żeby ongi ludzie byli lepsi,
Ale byli otwartsi we wnętrzu i krzepsi;
Jakieś czerstwe ich ciałom panowały duchy,
Z tąd tych ciał takie wielkie a rzetelne ruchy.
Dzisiejszej melancholji, łez cichych nie znano,
Kiedy ból — to ryczano w płaczu, to włos rwano —
Kiedy gniew — to na szabli dłoń, a piorun w oku —
Dziś niema tej szczerości, dziś serca w omroku,
Półświatła i półcienia — ni dnia ani nocy...
Dowód-że to niezwykłej siły, czy niemocy?

*

Konfederacja nasza — to jak śród pożaru;
Taki ruch, taki zamęt, tyle krzyku, gwaru.

Z tłumu zebranych ludzi wstają naczelnicy:
Ten ma potęgę w słowie i zapał w źrenicy,
Pomazaniec natchnienia wznosi głos monarszy —
Ów woła że urzędem, ów że wiekiem starszy —
Inny krzyczy, że został większością obrany;
Krzyżują się rozkazy, mieszają się plany,
W tem miejscu jest, gdzieindziej niema posłuszeństwa,
Tu siadać na drabinach chcą według starszeństwa,
Tam kłócąc się o wodę, rozlewają wodę...
A przecież są w tym tłumie dusze czyste, młode!
Patrzcie, patrzcie na tamtych, jak z twarzą surową
Rzucają się w płomienie z rękami przed głową,
W słupach ognia i dymu migają, ogromni
Jak anioły zbawienia — ach! a bezprzytomni.
Szerzy się krzyk do koła, w krzyku rozpacz wielka:
„Ratujcie ją! tam w ogniach domu właścicielka!"
Oni nie wiedzą o tem — z żywota ofiarą
Poszli, aby ratować — co? — Jej odzież starą!

r. 1853.

SCENA Z DRAMATU:

OSTATNI BUCZACCY.

Komnata zamkowa. Na ścianach rynsztunki. Wojewoda w kaftanie łosiowym stoi z pałaszem w ręku; naprzeciw niego jeden z dworzanów równie z pałaszem; obydwa w postawie do walki. Daniel cały w żelazie, w hełmie, oparty przy oknie. Bliżej Ukropek, Mogiła, Hołubowicz i dwóch doktorów: Blutigel i Konowalski; w głębi liczni dworzanie i służba.

WOJEWODA.

Gotuj się wasze! a baczność — raz, dwa, trzy!

(biją się.)

Patrzaj Danielu i każdy niech patrzy,
Że dzisiaj silniej damascenką władam;
Ej weźmie, weźmie po skórze pan Jadam.

DANIEL.

Nie źle.

UKROPEK. (do Konowalskiego.)

Wam chwała.

(Wojewoda wolniej macha pałaszem; widać w nim wielkie wysilenie.)

HOŁUBOWICZ. (na stronie.)

Ręka mu ustaje.

WOJEWODA. (w złości.)

Czy kord zaklęty!

DANIEL. (na stronie.)

Serce mi się kraje.

(Biją się jeszcze chwilę, w tem pałasz wylatuje wojewodzie z ręki, on bezsilny pada w duże poręczowe krzesło. Dworzanie przyskakują do doktorów.)

MOGIŁA.

I cóż wy na to?

UKROPEK.

(Chwyta obydwóch doktorów za piersi i trzęsąc nimi krzyczy:)

Rady! rady! rady!

DR. KONOWALSKI.

Kord zczarowany.

HOŁUBOWICZ.

(wskazując na Wojewodę.)

Patrzcie, jaki blady.

(Wojewoda odwraca się do ściany.)

DR. BLUTIGEL.

Jam zawsze mówił, że te egzercycje
Ukrócą jeno wojewodzie życie;
Kto ma sił mało, niechaj niemi skąpi.

DR. KONOWALSKI.

Wywołuj siłę, a ona wystąpi!

(Zaczyna się sprzeczka między doktorami, w tem wbiega szybko:)

JAN TWOROWSKI.

Czy się spóźniłem? jakże próba zdrowia?
W dziedzińcu mieszczan i chłopków jak mrowia —
W milczeniu stoją, powznosili głowy
I jako w ołtarz patrzą w mur zamkowy.
Kiedym przechodził, to ta czeladź biała
O zdrowie pańskie ze łzami pytała;
Chciałbym zejść do niej — jakąż dam relację?
Czy lepiej dzisiaj?

MOGIŁA.

Gorzej panie bracie;
Ledwie się złożył, miecz wypuścił z dłoni
I upadł w krzesło.

TWOROWSKI.

Z tem nie zejdę do niej!
Zły ptak, co biednym smutek zapowiada.

UKROPEK.

(Długo chodząc medytował, teraz staje przed Danielem, uroczyście:)
Mości Danielu, oto moja rada —
Plastrom zagrozić: jeźli nie wyleczą
Do dwóch tygodni — na gałęź —

DANIEL.

Uciecza.

UKROPEK.

Dać im obrączki.

DANIEL.

Gwałt a rzecz bezbożna —
Nie — tak nie można.

UKROPEK.

Szkoda, że nie można.
(Odchodzi; żwawsza kłótnia między doktorami.)

DR. KONOWALSKI.

Dla bab szpitalnych chyba wasze leki,
Moje dla mężów.

DR. BLUTIGEL.

Lecz nie dla kaleki...

UKROPEK. (rwie się.)

Co? co? kaleki?

DANIEL.

A o co tam swary?

DR. BLUTIGEL.

Wciąż hartowanie radzi pan Makary.

DR. KONOWALSKI.

Tak jest, pałasze.

DANIEL.

Dobrze mówisz wasze,
Nigdy choremu nie szkodzą pałasze,
W żelazie zdrowie, co przechodzi w żyły,
Żelazo święte — jak mi Chrystus miły,
Dobrze waść radzisz wraz z Hipokratesem.

DR. BLUTIGEL. (głośniej.)

On wojewodę chce zgubić z kretesem
Pan wojewoda jeszcze pożyć może
Nie jedno lato — ale trza rogoże
Wyrzucić z łóżka, a wyścielić puchem;
Przytem się chować w miejscu ciepłem, suchem,
I w spokojności zupełnej.

WOJEWODA. (zrywa się.)

Precz żydzie!

DR. BLUTIGEL.

Równie się gniewu wystrzegać.

WOJEWODA. (tupie nogą.)

Niech idzie!

(Dworzanie z oznakami oburzenia wyprowadzają doktora; wszyscy wychodzą, zostają tylko: Daniel przy oknie i Wojewoda w krześle.)

WOJEWODA. (składa ręce.)

Chryste! Boże! Panie!
Miejże nademną, miejże zlitowanie —
Nie daj mi ginąć tak zwolna, po trochu,
Ale od razu zrób ze mnie garść prochu.
Bo ja dąb stary! długo moje cienie
Dawały ludziom chłód i odpoczniénie,
Nie żyłem sobie tylko — niechże za to
Śmierć od piorunu będzie mi zapłatą;
Jako pochodnia niech spłonę ogniście,
Niech mi rok rocznie nie opada liście,

Niech mi czerw serca nie gryzie pod korą,
Niech pastuszkowie w nocy, letnią porą,
Mem próchnem dzieci nie straszą!

DANIEL.

Mój Wojewodo, tą żałością waszą
Nie poradzicie nic słabemu zdrowiu;
A żałość taka, jak szabla z ołowiu:
Miękka i cięży.

WOJEWODA. (dumając.)

Plądrują Tatary!
Całe Podole okrył obłok szary,
Czasem go łuny pożarne rozświecą,
I znowu ciemno; wiatry na mnie lecą!
Niosą popioły z domów, tentent koni,
Lamenta niewiast, okrzyki pogoni,
Czasem pogrzebne dzwonienie orężów,
Krótkie, urwane — i krótszy jęk mężów,
Potem śmiech wroga, co zwycięztwa dopiął,
I bluźni Bogu Polski — biada! biada!
Wszystkie te głosy na serce, a popiół
Na moje dachy osiada!

DANIEL. (na stronie.)

Coraz to gorzej.

WOJEWODA. (ciągle w zadumie.)

W dalekie manowce
Ciągną z powrotem już piekielni łowce —
Z przodu u siodeł dziewice przez łono
Jak plon łowiecki nago przytroczono —
Za końmi, braci zbryzganych posoką,
Ni to psy szczwalne na powrozach wloką!
Oni choć ziemi już swej nie zobaczą,
Idą w milczeniu, nie jęczą, nie płaczą,

Tylko wybladłą, odwróconą twarzą
Mnie, mnie szukają! na mnie, na mnie skarżą!
Wymowna twarz ich, a słowo zabójcze:
„Och wojewodo! a gdzie ty nasz ojcze?!“
Gdzie wojewoda? gdzie wasz wódz orężny?...
On już wam na nic, on już niedołężny,
Stary, schorzały, w pieluchy się schował,
Pierś nie żelazem, ale obwarował,
Murem — murami wspólny los odpycha —
Patrzy na łuny, popiołem oddycha,
Wzdy sam bezpieczny...

(gwałtownie:)

Niech otworzą bramy!
Gdzie lud nasz ginie i my gardło damy!
Skińcie! niech wraca motłoch zyzowaty,
Niech pali zamek — tak jak spalił chaty!

DANIEL. (żegna ręką.)

W Imie najświętsze, obłędy i mary
Za drzwi!

(do wojewody:)

W Podole nie weszli Tatary,
Mości Jakóbie. Słysz mości Jakóbie,
To ja, Żelazny — a tego nie lubię;
Co tu słów marnych, i żalu i jęku,
Jak ongi, kiedym nosił was na ręku,
A zawsze mawiał nieboszczyk starosta:
„Hej mój Żelazny! snać on nam nie sprosta,
Miękkie i łzawe serce wziął po matce;
Ciągle mi kwili chłopiec jak ptak w klatce“
No, Bogu chwała — na wiatr poszła wróżba,
Zahartowała was rycerska służba,
Pięknie wam żywot spłynął — ostro, młodo,
I syn starosty został wojewodą;
Toć mu tam z serca spadł już kamień młyński,

Cieszy się w grobie starosta śniatyński,
Bo mało dziecku ufał.

WOJEWODA. (ponuro.)

Dziś się smuci.

DANIEL.

Bo chociaż mówią, młodość się nie wróci,
Wam się wracają lata niemowlęce.
Cóż wojewodo, mam cię wziąść na ręce,
I znów jak dawniej tulić dziecko tkliwe?
Prawda, że wasze gwiazdy nieszczęśliwe —
Bo wstrętno długo, na śmierć się sposobić.
Życiem na łaskę u Boga zarobić,
I krótka spowiedź przed krwawą potrzebą,
I cios z pogańskiej ręki — ot i niebo!
A wam zaś, mości Jakóbie, potrzeba
Na ciepłem łożu oczekiwać nieba,
I bez pancerza w kącie Boga chwalić,
Podczas gdy wojną kraj może się palić —
Srogie to fatum, srogie! — wszakże chrobrze
Trza się z niem godzić — a płakać nie dobrze,
Nie!

WOJEWODA.

Tyś z żelaza.

DANIEL.

Ba! a czy to zmaza?
Bóg nas nie z gliny zlepił — lecz z żelaza!

r. 1855.

WIEŚĆ O ADAMIE MICKIEWICZU.

Dosyć jęków, niech już oczy nie płaczą niczyje;
Wiem i powiem — wiem co mówię: ludu! wieszcz nam żyje!
— Tak, w swych pieśniach, w sercu naszem — rzekniecie ze łzami,
Nie! on żyje jasny, widny — tu, pomiędzy nami!

Mam ja moje wieści z nieba — a mówię to skromnie,
Czasem do nich się podnoszę, czasem schodzą do mnie;
Ale zawsze w męce ducha tylko tę moc czerpię,
Abym stał się czystą czarą, gdy w ogniach przecierpię.

Co wam z tego, gdy wam powiem, czemu często gasnę
A za chwilę znów mam serce prorocze i jasne —
Kiedy śpiewam, tom głos żywy — Martwi! powstawajcie!
Wasze dusze ręczą za mnie: — Wierzcie i słuchajcie!

*

Stanął smutny w swem zmęczeniu, lecz bez żadnej zmazy,
Jak posłannik, gdy powróci spełniwszy rozkazy;
Stanął w sukni swojej ziemskiej, z czystym blaskiem w oku
Przed otwartą wielką bramą i czekał wyroku.

W bramie anioł promienisty stojący na straży,
Na dwóch skrzydłach jak na falach unosi się, waży,
On-to anioł, co strzegł raju — już miecza nienasza,
Li białością swoją lśniącą grzeszników odstrasza.

I spłynęły miodne dźwięki: „Witam cię mój bracie —
Ileż cierni tkwi złamanych w twej pielgrzymiej szacie —
A twe oko przecież jasne, choć krew z twych ran cieknie...
Oh, jak mało tu przybywa tak ubranych pięknie!

Nie chyl powiek — niech ominie cię pokory drżenie,
Bo od Pana mam do ciebie dobre polecenie;
Także od Tej, którąś wielbił, od Najświętszej Panny:
Tyś na polu Chrystusowem zwycięzki, choć ranny!

Choć błądziłeś, lecz walczyłeś i kochałeś szczerze,
Lud twój biedny wychowałeś w miłości i wierze;
Na twem ciele ran tak wiele — a największe blizny
Jeszcze dotąd niezgojone — a te, dla ojczyzny.

Bo kto dla niej więcej znosi, ten duższy i starszy;
Ty spełniłeś wyznaczony swój cel patryarszy —
Bracia twoi tam na ziemi twoim duchem stoją,
Twa pieśń będzie dla nich mieczem — dotąd była zbroją.

Toż tam cały naród w żalu płacze nad twą trumną —
Marne to łzy i niewczesne — bądź ty Polsko dumną!
Powstał patron wiele możny, gdzie znikł słaby człowiek —
O pokorny, nie płoń czoła, nie chyl, nie chyl powiek.

Wiem, że nieraz w ciemne strony burza cię uniosła,
Wiem, że nieraz zapomniałeś o godności posła;
O! bo młodość wielce krucha, któż nie grzeszył z młodu?
Wprzód kochankiem, potem ojcem zostałeś narodu."

I jak białe dwa promienie schylił ręce obie,
I promieńmi magnetycznie ciągnął go ku sobie:
„Wejdź w tę bramę, kędy wchodzą Wybrani i Święci.“
A on na to: „Wszak ta brama — Bramą niepamięci!

Za żywota już przeczułem, że ten Boga dopnie,
Kto zasługą się podnosi w coraz wyższe stopnie;
Ale o tem nie wiedziałem, że kto sługą nieba,
O odbytem raz poselstwie zapomnąć mu trzeba.“

Więc znów anioł uśmiechnięty jak ranek pogodny:
„Twój duch pamięć stracić musi, aby był swobodny,
Bo go Ojciec znowu wyszle i na większe cele —
A w naszego Ojca domu jest pomieszkań wiele!

Patrz jak iskrzą się drobniutko nieznane ci światy —
Zdejm twe suknie potargane, wdziejesz nowe szaty.“
A on patrzy w otchłań straszną, a żal go oniemia,
I wyszeptał: „Wskaż aniele — która moja ziemia?“

Anioł wskazał — wskazał prosto między gwiazd miriady —
Tam od pyłu między pyłem lśnił promyczek blady;
A on poszedł za tą ręką, wpatrzył się głęboko,
Uczuł w sercu, że niemylnie spoczęło mu oko —

I wyłonił się już cały i wytężył ducha,
Oczy łzami gdy mu zaszły — to on słucha, słucha...
Cisza była dziwnie wielka; aż mu z ust nieskoro
Łzą wyciekło: „Tam mych sierot — tam sierot sześcioro!“

I rozpłynął się w czułości na ten głos ojcowski,
Nieznający ludzkich cierpień dawny anioł Boski —
Aż mu w cichym drżącym głosie równie łzą wyciecze:
O anielskie wielkie serce a czysto człowiecze!

I w zniżeniu już po ziemsku mówi: „Bądź spokojny,
Naród kocha cię i wielbi — a on szczodry, hojny,
Nie da upaść twoim dzieciom — żyć będą bez troski,
Każdy między przyjaciołmi wśród ojczystej wioski.

A byłażby twa ojczyzna już ciebie niegodna,
Gdyby serca dla twych dzieci nie rozwarła do dna;
A byłbyż ten synem piekieł, ktoby śmiał zdradziecko,
Jaką chęcią nieprzychylną dotknąć twoje dziecko.

Bądź spokojny — tam dłoń matek wnet im łzy obetrze,
A wprowadzi je dłoń ojców na polskie powietrze —
Ono brzmiące twem imieniem; — tonąc w tem imieniu
Będą bujać twe orlęta w ciągłem zachwyceniu.“

Tak pocieszał go — i wabi znów anioł skrzydlaty:
„Wejdź w tę bramę — odrzuć pamięć — weźmiesz nowe szaty.“
On szedł zwolna twarz oparłszy na konfederatce —
Odjął ręce — spojrzał na nią: „To po mojej matce!!

Nie aniele! ja nie mogę — wstaw ty się do Boga —
Jam się wszczepił w tę ojczyznę, pamięć o niej droga —
Jam za nadto na tej ziemi i kochał i bolał,
Bym dla zysków mego ducha pamięć tracić wolał!

Za żywota tam nosiłem oblicze surowe,
Dla poglądu po nad tłumy podnosiłem głowę,
Ułomności moje ludzkie słoniłem powagą:
Tum jak dziecko, co przed okiem ojca — leży nago.

On zna skrytość mojej duszy, widne mu jej głębie,
On, co sklepił orlim pierzem me serce gołębie,
On wie o mnie, o czem może nie wiedziała rzesza,
Że prócz błysków mojżeszowych — mam serce Mojżesza.

Serce miękkie i krwi pełne, co miłości żąda,
Co za swemi pamiątkami dotąd się ogląda,
Co jęczało pod pancerzem, krwawiło się zcicha,
Gdy w ten pancerz uderzały nizka złość i pycha.

To nie mogę ja zapomnąć, wyrzec się żywota
I tych braci, których wiodła moja lutnia złota,
Bom zostawił ich w strapieniu a wielu w obłędzie,
I drżę cały i wciąż pytam: co tam z nimi będzie?

Nie chcę błądzić, nie chcę sądzić mój stróżu przedniebny,
Ale jakby mi się zdało, że ja im potrzebny,
Żem ich prawie osierocił i wcześnie porzucił....
O aniele, módl się ze mną, abym do nich wrócił.

Duchem cały zbłękitniały chciałbym wśród nich latać,
Tu podnosić pognębionych — tam zwaśnionych bratać;
Dwojgiem skrzydeł połączyłbym dalekie a blizkie:
Jednem kryjąc dwory białe, drugiem chaty nizkie.

Często pójdę do pieśniarzy, między moją dziatwę —
Tym, co serce mają czyste, dam natchnienie łatwe,
Aby burzę, gdy na niebie zahuczy ponurem,
Niby dzwonkiem loretańskim rozpędzali — chórem!

A w męczeństwie jeźli padnie kto z braci — o Boże!
Ja na skronie okrwawione koronę mu włożę,
I na ręce wezmę drżące i w niebo odniosę
Zwiędły ten kwiat i złamany — na słońce, na rosę.

Zwano mnie aniołem pieśni wśród mego zawodu —
Pozwól Panie, abym został aniołem narodu;
A w Twem oku gdy dla niego ujrzę szczęścia wróżbę —
Oh! promienny i ochotny wrócę na Twą służbę.

Ty wiesz Boże, co tam jeszcze w mojej duszy płacze:
Czy już nigdy mej ojczyzny, nigdyż nie obaczę?!
Wszak okryty Twoją łaską, w Twych natchnień bogactwie,
Przez ćwierć wieku ja tęskniłem do niej na tułactwie.

A ufałem ja tak mocno, że na starość może,
Na zieleni własnej ziemi na wznak się położę,
I nad sobą słyszeć będę skargę w gwarze sosen!
Żem daleko od nich spędził tyle w życiu wiosen.

Śpiewającą skargę matki mają tylko drzewa
Mej ojczyzny. Ach! z mej trumny taki głos nie śpiewa —
Z obcych jodeł brano do niej głuche, zimne deski....
O, wysłuchaj mego jęku Ojcze mój niebieski!"

I na równi z kolanami pochylił się czołem,
Przed nim klęczał biały anioł i modlił się społem.
. . . .

Te schylone dwie postacie ujął w swoje ramy
Sklep arkady; a w dalekich głębiach jasnej bramy
Migająco przebiegały tajemnicze błyski:
Znak, że słucha ich modlitwy Bóg, co zawsze bliski.

Gdy ich dusze ukorzone silniej się zapalą,
To tam z głębi światło bucha, oblewa ich falą —
Wtedy słychać szumy skrzydeł: to ciche, milczące,
Przyciągnione blaskiem Bożym anioły lecące.

Jakby wiedząc, że modlitwa ta i za nim prosi,
Tam w otchłani jeden z globów drży na swojej osi,
Żywiej płonie, rwie się naprzód do tych dwóch postaci...
Lecz go z toru nie wypuszcza siła starszej braci.

Jeszcze klęczał wieszcz schylony, gdy już nad nim cicha,
Promieniąca twarz anioła słodko się uśmiécha —
Ten rzekł: „Powstań! Ojciec dobry przyjął twe modlitwy —
Leć aniołem! — gdzie polecisz?“ —
— „Ach! najprzód do Litwy!!“

*

Tyle dla nich. Teraz głos mój podnoszę do Ciebie
Mistrzu pieśni! stróżu ludu! patronie w potrzebie!
Ja, com patrzał w twoje oczy — może tobie słodszy,
Bom z twych braci najuboższy i twój brat najmłodszy.

Duszą lotny a dziecięcy, w troskach nieudolny,
Lecz na polu walk duchowych niezłamany, wolny —
Popatrz na mnie — lecąc blizko, wstąp pod moją strzechę,
Rzuć mi słowo przyjacielskie na moc i pociechę.

Anioł-stróż mój, ten o tobie przynosił mi wieści —
Ty o Innym daj wiadomość równie drogiej treści;
Powiedz o Nim — bo jednako jam was kochał obu,
A boleść po waszej stracie poniosę do grobu.

Powiedz! czy tam na błękitach, gdzie miłość rozlana,
Nie zdybałeś ognistego śpiewaka Kordjana?
Czy on zawsze niespokojny, samotny i smutny —
Czy już jak ty duch swobodny, czy jeszcze pokutny?

A w zdybaniu jakiem okiem on ku tobie błysnął?
Czyś wyciągnął doń ramiona? na szyi uwisnął,
Aby spłukać we łzach wspólnych przedgrobne niechęci?
Czy on z nami? czy już przeszedł Bramę niepamięci?

Przeszedł chmurny, bolejący, głowę słoniąc połą,
Aby ukryć w fałdach płaszcza swoje nagie czoło

Próżne wieńca, który ledwie upadł mu ną trumnę....
Gieniusz blasków! duch Tytana! serce wielkie, dumne!

Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie!
Kto je zbierał? kiedyż naród te skarby wygrzebie?
Kto z miłością za nim wodził okiem do ostatka? —
Tylko młodych uczniów kilku, tylko stara matka!

Gdybyż jeszcze na swej ziemi bez chwały hałasów,
Przysłuchując się do woli głosom pól i lasów,
Mógł je obrać za słuchaczów, a one oddźwiękły —
Toby jemu struny serca tak wcześnie nie pękły.

O! szczęśliwszym ja od niego, bo te głosy słyszę,
Niedbający o poklaski lubię wiejską ciszę;
A choć wzlecę rozbujały, namiętny, omamion —
Łatwo ściąga mnie z obłoków drogich parę ramion.

Wzdy mój mistrzu wielostrunne daj mi twe narzędzie;
A choć ono długiej sławy dla mnie nie zdobędzie,
Byle tylko z twoją wiarą brzmiało, choó nie z siłą —
Dogoni mnie miłość ludu przed lub za mogiłą.

A w szeregu tych strun wielu jeźli się zagmatwę,
To przybywaj ku pomocy, daj „natchnienie łatwe“
Jakeś przyrzekł przed aniołem — bo mam serce „czyste“
I kadzidłem wciąż płonące, — szklanne, przezroczyste.

Daj mi lutnię swą sierocą — ja jej nie ubliżę —
Jeźli ciężka — nieść ją będę tak jak niosą krzyże;
Pieśnią będę błogosławić a nikogo kąsać,
Złych gnieść będę, obojętnych za wnętrzności wstrząsać.

A tak idąc z twoją lutnią przez zasadzki zdradne,
Gdy na „polu Chrystusowem“ walcząc dla niej padnę —
Podejm mistrzu moje czoło zwiędniałe, bezwłose,
I odnieś mnie w „drżących rękach — na słońce, na rosę!“

r. 1856.

PO LATACH OŚMNASTU.

(Rzecz z r. 1848.)

1.

Dworek biały, pochyły, drewniany,
W koło niego topole we wianku,
W wieczór letni, zachodem różany
Cztery osób tam siedzi na ganku.
Sadem miga Szreniawa — zawile
Nad nią wierzby i chmiele obwisły,
A Szreniawa ztąd płynie do Wisły,
A zaś Wisła, ta tylko o milę.

Ganek duży, po rogach dwie ławki,
Dawniej miejsce dzieciom do zabawki —
Tu z prośbami przychodzą wieśniacy,
Tu do ziarna zlatują się ptacy.
A na jednej z tych ławek, tam siedzi
W czarnej sukni poważna staruszka,
Z twarzą jasną jakby po spowiedzi:
Pani domu; na ziemi poduszka,
Pewnie ręką jej córki robiona,
Teraz matce pod nogi wsuniona.

Przy niej bokiem pułkownik od straży
Pogranicznej, kask blaszany waży,
Targa kitę włosienną przy kasku,
I ostrogą coś kreśli na piasku.
A na ławce przeciwnej: to córka;
Na jej czole ciemna bolu chmurka,
Na jej twarzy niedawnych łez ślady,
Obok jakiś młodzieniec a blady,
A oboje tak jakby dobrani,
Młodzi, piękni, — może zakochani.
I ci milczą.

Tam zaś stary żołnierz
Ciągle targa kitę, skręca kołnierz,
Oczy w dół, trze czoło, oddech łowi,
Ciężko westchnął i cicho tak mówi:
— „Pani matko! skłońcie miłościwie
Ucho dla mnie. No, ja sam się dziwię
Czemu do was nie śmiem podnieść powiek.
Wot ja moskal, pies na carskiej sforze,
Wot ja waszej ojczyzny morderca....
Wierzcie matko, żem ja nie zły człowiek;
Dawno mógłbym zostać jenerałem,
Gdybym psem był jak inni — nie chciałem!
Pomiłujcie! błagam was w pokorze;
Córka wasza wpadła mi do serca,
Ginę za nią. 'Jam was Lachów kochał!
Kiedym szedł na Warszawę, tom szlochał
Jak w tej chwili. Bóg niech będzie świadkiem!
Jeźli na nią popatrzę ukradkiem,
To z pamięci car, Bóg, wszystko znika,
Tylko ona jedna wskróś przenika,
Jako słońce gdy świeci na stepy.
Och! ja bez niej to chodzę jak ślepy —

Ona słońcem. Dajcie mi swą dziéwkę!
Hej! gdyby ją wziąźć na moją siwkę,
I polecieć za Don, na me pola....
Niech przepada car — służba — niewola!
Dosyć ja się nasłużył carowi —
Lat trzydzieści! ot włosy już siwe —
Mógłbym jeszcze mieć życie szczęśliwe —
Człeku w szczęściu i młodość się wznowi.
Ot! ja czuję w mem sercu, co w płaczu,
Żebym błyszczał jak złoto w monstrancji.
Chodzą gadki że bunty w Francji,
Nie chcą caru już płacić haraczu,
Car nasz butny, z wszystkimi się tuzą,
Pewnie wkrótce pójdzie na Francuza.
Och! pozwólcie, a tu się przesiedlę,
Przedam moich sześćdziesiąt wiorst stepów,
I na stepach łoszaki kochane,
W Astrachanie i w Moskwie pięć sklepów,
I zakupię te sioła tu wedle,
I jak syn wasz — Polakiem zostanę."

Tak mówił, łzy ścierając rękawem;
Matka patrzy nań okiem łaskawem,
I coś szepce mu w ucho poważnie.

A na drugiej tam ławce, tam grucha
Cichy gołąb w popielnej sukience,
A młodzieniec twarz schylił i słucha:
— „O niedobry! — ty mówisz: odważnie!
A ja płaczę, ja cierpię, ja w męce!
Więc już dzisiaj — i może na zawsze!"

— „Nie mów dalej — rany moje krwawsze
Po twych słowach; niech się goi blizna!

Straszne słowo — to słowo: ojczyzna
Wszystko pada, każdy węzeł pęka,
Gdy nad nami zjawi się jej ręka
Wołająca ku sobie, dla siebie!
Jabym Bogu się urwał i w niebie!
Pójdę za nią — wrócę.... kocham Ciebie!“

— „I dla czegoż nie czekać jak inni?“

— „Ci, co jeszcze czekają — ci winni!
Tam w Poznańskiem najmłodsi synowie,
Chłopi polscy, już za nią krew leli;
Pułki stoją gotowe we Lwowie,
I hułani! bieli jak anieli;
Wkrótce Francja da nam uścisk bratni,
Biada temu, kto przyjdzie ostatni,
Chyba śmiać się na wrogów pogrzebie.
Oh! pod nogą ziemia mi się pali...
Wrócę pędząc przed sobą Moskali,
Wrócę z bratem twoim... kocham Ciebie!“

— „Takiś młody! — ach, młodszy odemnie!
Ciebie nęcą jeszcze losów ciemnie,
Serce twoje gorące a płoche
Wciąż nowego potrzebuje czaru —
Mą miłością pobawisz się trochę,
I zapomnisz... śród boju, śród gwaru.“

— „Więc przysięgam! I ty mi przysięgnij,
Tak, nieznacznie ręką w górę sięgnij,
Bóg niech widzi.“

— „Ten przysięgi żąda,
Kto sam sobie nie ufa; o luby!

Jakże wątłe są nasze rachuby!
Dusza w przyszłość z obawą pogląda,
Bo mnie w sercu coś rwie się, coś pęka,
Jakby jaka niewidoma ręka
Groziła nam.

— „Więc ty mi nie wierzysz?!
I w chwili rozstania popłoch szerzysz
W mem sercu rozdartem?!

— „Ciszej, ciszej,
Matka patrzy, pułkownik usłyszy.“

— „No zgoda — ach! już słońce zachodzi,
Czeka na mnie mój strzelec u łodzi,
Tam w szuwarach wiślanych, za zamkiem;
Ułożyłem się także z Abramkiem
O przewóz moich rzeczy.... Bądź zdrowa!
Biedna matka i ojciec — nie wiedzą...
Tak spokojnie w Warszawie dziś siedzą,
Ani myślą... To słońce się chowa
Coraz bardziej, na przekór... Bądź zdrowa!
Nie chciałaś mnie pocałować... Boże!
Raz jedyny, raz pierwszy, a może
Ostatni; połóż rękę tu za mną...
O przeklęty ten Moskal nam wadzi,
Siedzi grzybem gdzie go los posadzi;
Połóż rękę — pójdę drogą kłamną,
Niby chustkę zdejmując, uklęknę,
Pocałuję cię w rękę — gdy jęknę
Z bolu, to chrząknij; ten pierścień mały
Weź odemnie, noś go, on ze stali,
On jak moja miłość wiecznotrwały....
Tylko wiedzą, co jak ja kochali,

Jak mi ciężko w sercu!... Mrok na niebie,
Już odjeżdżam... Odważnie!... skiń głową,
Bądź zdrowa! — nie ostatnie to słowo,
Bo ostatnie zawsze: kocham Ciebie!"

I wstał raźno, dłonią przeszedł czoło,
I do matki zbliżył się wesoło,
I rzekł:

— „Na czas dłuższy żegnam panią,
Jutro jadę na kąpiele... krwawe...

— Krwawe? — spytał żołnierz.

— „Z krwi bydlęcej,
Tak lekarze radzą najgoręcej,
Już oddawna... zdrowie moje mgławe,
Za granicę jadę ulżyć zdrowiu,
Za pasem... tutejszym."

Spojrzał na nią.

I odszedł; koń czekał w pogotowiu,
I skoczył nań, ledwie dotknął siodła,
Ona za nim długo okiem wiodła —
On pierzchnął — podobien do człowieka,
Co przed samym sobą gdzieś — ucieka.

2.

Wszedł na ganek stary domu sługa;
Liberyjna na nim suknia długa,
Jak on stara — a jej kolor dziwny;
On sam słuszny, chudy, trochę sztywny,

Z straszną blizną w twarzy, z której słynął,
Bo ją dostał gdy pan jego ginął
Pod Grochowem; kartacz mu ją zadał
Gdy się chylił ku panu, co padał;
Pół szczęki mu urwało i kawał
Języka — drżał mówiąc o harmacie;
Żal miał do niej po tak wielkiej stracie....
Bo mu w gębę lazło myśli nawał,
A nie miał go czem wypchnąć: bełkotał,
Więcej jeszcze rękami szamotał,
Niecierpliwym będąc. Sługa taki
Wszedł, wyszczerzył oczy, czegoś łzawe,
Nic nie mówił, tylko jak wiatraki
Ręce puścił — i zmieniał postawę.
Więc go pani spyta:

— „Cóż Michale?“

Poczerwieniał.

— „Tkacz przyszedł — nic wcale,
Tkacz — nic wcale... tam siedzi na przyzbie“

— „Czegóż płaczesz?“

— „Nic wcale... dym w izbie...
Mam coś mówić... nic wcale...“

Ku sadu
Ręką wskazał i kiwnął na panią
Poszła naprzód staruszka — on za nią.

Gdy odeszli, pułkownik się zbliżył,
Obtarł oczy bojąc się łez śladu,

Na odwagę krótki włos najéżył,
Bo drżał cały sercową bojaźnią,
I wziął rękę panny i przyłożył
Do niej usta — poczem trochę ożył.

— „O ty krasna panienko, przed tobą
Stawam drżący jak sołdat przed kaźnią —
U macierzy już byłem z żałobą —
Ona iść mi kazała do panny
Po radę.“

— „Cóż panu?“

— „Jestem ranny —
Oczki twoje zraniły mnie srodze;
O ty jedna zagoisz me rany!
Czy ja stary mogę być kochany?
Powiedz!“

— „Oh — ja pana pułkownika
Chociaż Polka jak ojca szanuję,
Boś szlachetny jak mało Moskali.
Nie miej żalu, daruj mi niebodze
Że to powiem, w co wierzę, co czuję —
Ród twój, panie, zgrozą nas przenika,
Wyście naszą ojczyznę zdeptali;
Ojciec zginął na polu — wy wiecie,
Brat mój jeden umarł na Sybirze,
Brat mój drugi tuła się po świecie,
Matka moja dotąd chodzi w kirze...
Chociaż serce twe cnoty pochwala,
Ja!... nie mogę być żoną Moskala.
Zresztą, miłość nie znosi nakazu!
Czemuż tego nie mówię od razu —:

Ja nie kocham pana... nie drżyj panie,
Wiesz najlepiej, co to jest kochanie!“

— „Wot ja na to stworzony wid Boha,
Bym jak żyłem i umarł sierotą....
Wot nie stawać mi już z pod batoha,
Serca mego nie nakarmić cnotą! —
Do psiej strawy powracaj sołdacze!
Próżnoś łaknął anielskich pokarmów...“

I zasłonił swe oczy i płacze.

W tem od bramy, na koniu, z kozakiem,
Konia bijąc po głowie kułakiem,
Pędzi cwałem porucznik żandarmów;
Gdy na ganku pułkownika zoczył,
Zarył koniem na miejscu, zeskoczył,
Długim krokiem przystąpił przed wschody:

— „Błahorodja!“

— „Szto tam?“

Lecz on milczy;
Włosy jego rude a wzrok wilczy,
Kiedy w głodzie śmieje się nad kością
Widną zdala. Taki jeszcze młody!
A już w twarzy on czernieje złością,
A na piersiach już czernieje chrestem!

— „W sprawie służby tajemnej.“

I gestem

Na panienkę wskazał.

— „Skaży — wolno.“

„Chłop dziś w nocy przeprawiał się Wisłą,
Przewoźnikom zapłacił rublami,
Już zrobiłem indagację ścisłą —
Bo kijami.

Jednokonnym wózkiem, drogą polną,
Przed godziną mignął się przed nami —
Ja i trzech żandarmów za nim — solno
Nam było — ha! dwóch z nas już nie wstanie.

— „To przemytnik.“

— „Choć w chłopskiej sukmanie —
Białe ręce widziałem — Emisar!!
A czy na durno ten chrest dał mi car!
Znam ja ich — poznam buntowszczyka
Choć o milę — drugiego krzyżyka
Zapragnąłem — cha! cha! będę go miał!
On pomyka ku lasom — a ja w cwał
I za nim — cóż? koń padł mi na roli —
Bez nabojów już był — ha! to boli!
I znikł w lesie, tu blizko... złapię go!
Choćbym miał ten chrest własną oblać krwią,
Złapię! — w piekło musiałby się schować —
Albo jemu dziś, albo mnie na zgon!
Co mam zrobić gdy złapię?“

— „Paszoł won!
Pierwej złapać a potem meldować,
Bez potrzeby nie czynić alarmów.“

I odjechał porucznik żandarmów;

I odjechał pędem, a w nos chrapie:
— „Ho! na cara! złapię ja go — złapię!“

A pułkownik odwrócił się twarzą,
A twarz jego zachmurzona, mglista,
I zadumał:

— „Takich chrestem darzą?!
A pierś moja bez chresta.... bo czysta!
Care! care! złe bude i z nami —
Już nam sromno zwać się Rosjanami!“

Ha! krzyk jakiś nagły, przeraźliwy,
Krzyk okropny rozległ się po sadzie;
Jezus Marja! cóż to?! Dziwy! dziwy!
Matka leci, jak kiedy wiatr niesie,
Przypadł do niej sługa — ona rwie się,
Zębem kąsa, pierś jej bez oddechu,
Oczy iskrzą dzikie, włos w nieładzie,
W twarzy mnóstwo boleści i śmiechu,
I tak biegnie na dom w obłąkaniu,
Rwą się słowa bezładnie i w łkaniu:
— „Tkacz! tkacz! gdzie on?! Och lat osiemnaście!
Dni, dni osiemnaście — gdzie! pokażcie!!“

I wpadła na ganek jednym skokiem,
Wyłamała drzwi — tuż za jej krokiem
Biegną córka, sługa — wbiegli razem
Odpychając się. Pułkownik głazem
Stanął — chce iść — w sieni nakształt warty
Stoi sługa, groźno o drzwi wsparty,
Ręką trzęsie i jąka: „Nic wcale!
Sądzę... niepotrzebni tu Moskale!“

Wzbronił wstępu — Moskal się zawrócił,
W osłupieniu na ławkę się rzucił.

Wewnątrz domu krzyk, łomot... to Ona!
Matka! szuka tam za kimś — szalona!
Wpadła w alkierz, alkierz cały w mroku,
Ale ona słońce ma w swem oku!
Widzi: pusty! — Rwie się z objęć córki,
Tam gdzie ciemniej, tam do tej komórki —
Zanim wbiegła — tchem już się poznali,
Coś niby trup do nóg jej się wali...

— „Synu! synu! mój synu! mój tkaczu!“

I w potrójnym a ryczącym płaczu
Reszta zgłuchła. Tylko od podłogi,
Z ust, co matce wpiły się do nogi,
Czasem cichy głos wznosi się łzawy:

— „Matko! umrę! wody... ze Szreniawy!“

3.

Zimną wodą twarz obmywszy sobie,
W dobrą pół godzinę wyszły obie,
Jak królowe powagą dostojne,
Choć wzruszone wewnątrz — lecz spokojne.

I do pułkownika matka rzecze:

— „Ja tu przyszłam by przeprosić pana
Za te sceny, które wyprawiłam.
Wiele nieszczęść miałam w mojem życiu,
W sercu mojem tkwią bolesne miecze,

Czasem nagle otworzy się rana,
Wtedy panie — jestem obłąkana....
Długo miałam siłę kryć — więc kryłam,
Dziś mi trudniej trzymać to w ukryciu —
Niech pan stanu mego nie rozgłasza...
Prawda panie, widok ten przestrasza
I walecznych tak jak pan żołnierzy...
O! przepraszam — pan się przeląkł pewnie."

I podała ręce zimne, sine.
On je schwycił i całował rzewnie,
Jak przez popa podaną patynę.

— „Noc tak jasna — toć pan bez wieczerzy
Nie pojedziesz? — Mnie już o posłaniu
Trza pomyślić; baw tymczasem Haniu
Pana pułkownika."
I skłoniła
Głową i odeszła.

On milczący,
Ona drżąca — tak stali przed sobą...
Aż on:

— „No praszczajte, Pan Bóg z tobą!
No praszczajte, moja Laszko miła!
Z waszej Polszczy odjeżdżam płaczący,
Na kraj świata, het gdzieś na Kamczatkę...
Pożegnajcie dobrą panią matkę...
Oj hołubko! nie mam do cię żalu,
Toż podumaj czasem — o Moskalu!"

I chciał odejść. Ona się zatrwoży,
Jej przeczucie mówi, ten szept boży,
Że to z domu przyjaciel odchodzi,
Co w nieszczęściu brata jej ocali.
Przystąpiła, usta składa mile:

— „Jeszcze wcześnie, widzi pan dobrodziej,
Matka chora — zostań jeszcze chwilę.“
I bezsilny został.

On milczący,
Ona drząca, tak przed sobą stali...
W tem ktoś wbiega na ganek — to on sam!
To porucznik! — wbiegł cały iskrzący:

— „Błahorodja! Błahorodja! jest! jest!
W koło płotów są nasi — bude chrest!
Dla nas dwóch! może ranga! szczaśtie nam!“
I odskoczył, jakby garścią żarów
Kto nań sypnął — gdy pannę zobaczył.
Lecz wnet ukrył zmieszania powody,
I znów głosem gorącym jak wprzódy:
— „Przemytnika'm tu w lesie obsaczył,
Z powózkami prekrasnych towarów.
Uże on nasz, ten rudy jewrej,
A bogaty jak syn czorta — hej! hej!
Budut hroszi, lub ranga.“

A ona??
Do wielkiego podniosła się krzyku
Jej pierś — ciśnie rękoma do łona
Rwący się głos — i długo, grobowo,
Jedno tylko wyjęczała słowo,
Jedno słowo:

— „Panie pułkowniku!“

I bezwładna, do głębi złamana,
Sunie się w kąt, padła na kolana...
Spojrzy! za płotem miga kask przy kasku!
I zakryła twarz od tego blasku,
Modlić się chce...

On już wie o wszystkiem!
Krótką tylko chwilę zadrzał listkiem —
Teraz ściska pięście, brwi się chmurzą,
Burza po nich przelata za burzą,
Straszną walką łamią mu się lica,
Zadrzał znowu: przeszła błyskawica!
Już spokojny.

„Chwat! chwat! Padałyca —
Sława pułku! — tra nam wziaty radu....
Pogoworim — padi... tam... do sadu....“
I odeszli.

A ona na ziemi
Leży, we śnie strasznym konająca!
Tam o kilka ścian, tam po-za niemi
Dusza w duszy zachwytem płonąca!
Tam jej matka, radością szalona,
Leży na szyi syna — a ona
Leży głazem na głazie; powstać chciała,
Oparła się rękoma — nie może!
Modlić się chce! — rwie się myśl — nie może!
Piersią tylko szepce: Boże! Boże!
I tak długo trwało.

Nagle cała
Wstrząsła się — to jej dusza na zwiady

Poszła — czuje, że jej anioł blisko,
Rośnie w sobie — już ma skrzydła — wstała!

O słup wsparty stał on — strasznie blady,
Nogi suną naprzód — czy tak ślisko
Z nocnej rosy? — on za słup się chwyta.

— „Oh! co tobie?“

W dreszczu zębem zgrzyta,
Nic nie mówi.

— „Zlituj się! co tobie?“

Zbudził mu się duch, leżący w grobie.

— „To ty? tak to wy — brat wasz bezpieczny,
Niech ucieka!... Słyszysz ten szum rzeczny?!...
Ja odjeżdżam.“

Bliżej przystąpiła,
Dotknęła go.

— „Krew! krew na mundurze!
Jezu! Co to?“

— „Co?? — to Laszko miła
Znak, jak kocha Moskal, kiedy kocha.
Nie, jak u was, grzecznie i po trocha.
Miłość moją niech Bóg sądzi w górze!
Padałycy trup płynie do Wisły...

Ty się chwiejesz, ręce ci obwisły?
Nie drzyj; tu! — tu nic mi się nie stanie,
Podam w raport, że utonął — dięgi
Resztę zrobią."

Ona gdzieś ucieka,
Gdzieś bez drogi, przez trawy, po rosach,
Twarzą w niebo, z rękami we włosach,
Wewnątrz skroni słychać krwi pukanie,
Na jej czole czarne, grube pręgi,
I tak leci!

— „Oh! tego człowieka
Bez nadgrody zostawić nie mogę!
O ty Boże! natchnij mnie niebogę...
Kocham ciebie, słowu twemu wierzę...
Śnie mój złoty! o śnie mojej duszy —
Niechaj znika, niech się w mgłę rozprószy....
Dla mnie szczęście już tylko w ofierze."

Gdy wróciła, twarz miała błyszczącą,
Jak na piersiach bohatera zbroja,
I za ręce wzięła go gorąco:

— „Krwawy aniele! mężu! — jam twoja!"

r. 1856.

BŁONIA MEDYCKIE.

Już jeśli trza umierać, niech umrę za młodu
Z świeżą jeszcze pamięcią u mego narodu,
Co przy ogniu mych pieśni chętnie się rozgrzewał
I może powie: Szkoda! byłby jeszcze śpiewał —
Kiedy czoło pogodne, choć niecałkiem gładkie,
Bo troski na niem znaki popisały rzadkie;
A oczy nim przed blaskiem wieczności omglęją
Jeszcze świat pożegnają z miłością, z nadzieją;
A ręka błogosławić będzie, nim opadnie,
A usta nim strętwieją, uśmiechną się ładnie;
O tak umrzeć! bez żadnych na ludzi zaskarżeń,
Z piersią pełną natchnienia, z głową pełną marzeń.

Dla tego, co żył w ciszy, nietrzeba pomnika,
Czas go kruszy a ręka ciekawa lub dzika;
I ten, ktoby mnie zamknął do drewnianej skrzyni,
Mnie, com więzów nie nosił — krzywdę mi uczyni.
Niech ta ziemia kochana, ta ziemia rodzona
Padnie na moje piersi niby rozżalona,
Ona miłującego ciężko nieprzytłoczy,
Miękka jak dłoń matczyna przyciśnie mi oczy.

Toż tych, co tu zostaną, nie o wiele proszę,
Z świeżo ściętych gałęzi niech uplotą nosze,
I gdy niebo wieczorną oświeci się zorzą
Niech zwiędłego na liście zielone położą,
I niech mnie niosą w pole stroskani wieśniacy
Jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy.

Znam ja łąkę w Medyce, znam łąkę przestronną,
Gdzie po zimie najpierwej zielono i wonno,
Gdzie wiatry najrzeźwiejsze, najobfitsze rosy,
Gdzie nieraz w letnie nocy chylą się niebiosy;
Łąka-to wspólnych użyć, łąka-to gromadzka;
Tam duchów świętych ofiar odbywa się schadzka,
Bo chodzi wieść u ludu, że dawno przed laty
Stoczyły tam rozpaczny bój konfederaty,
I chodzi wieść prorocza, wieść natchnieniem męzka,
Że stoczy się tam bitwa ostatnia, zwycięzka:
Tam mnie nieście! tam głowę złóżcie pod murawą,
Niech ta wielka nadzieja będzie moją sławą;
Mniejsza, czy mnie pogrzebią z lamentem i krzykiem,
Niech ta wielka nadzieja będzie mym pomnikiem!

Leżeć będę pod trawą udeptaną gładko....
O ziemio moich pieśni, o ty moja matko!
Ty, co pociech dla wiernych swych synów nieszczędzisz,
Ty od siebie mej duszy tęsknej nieodpędzisz,
Ty to sprawisz, że ciała czyściejsza pozbyciem,
Będzie jeszcze do czasu żyć dawnem swem życiem.

Więc najprzód na te błonia, gdy słońce zagaśnie,
Wiejscy chłopcy na koniach wybiegną hałaśnie,
Pętami w ręku dzwonią i hukają w głosy...
Tam na łanie ostatnie sierp dożyna kłosy,
Kobiety pod kopami wieniec plotą pszenny,

Spiewają: — pieśń, to kąpiel na trud całodzienny;
Najpiękniejsza dziewczyna idzie strojna wieńcem
Z makiem w ręku i z takim jak ten mak rumieńcem;
Przed nią sunie z fantazją kulas, znany grajek,
W koło tłum, a nad głową pląsy i krzyk czajek.
I tak idą ze śpiewem przez błoń, przez pastwisko —
Tu już chłopcy błyszczące zażegli ognisko,
Ze śmiechem, z jakąś zmową stoją przy nim w kupie —
Ot i figiel — na konia, co spokojnie chrupie
Porwali i wsadzili grajka — ten się miota,
Lecz go wnet ułagadza ogólna ochota.
Brząknął w struny — ku sobie biegną jasne twarze,
Ręka chwyta za rękę, i już wszyscy w parze —
Grzmi taniec! w białej chmurze — bo się mgła rozściela;
Od kościołka dzwon głosi, że jutro niedziela —
A tu w piersiach, co rzadko rozpiera wesele,
Proroczo dzwonią serca — na wieczną niedzielę!
Coraz raźniejszym tańcem po mym grobie depczą,
A do ucha miłosne słowa sobie szepczą,
Z miłością po tej ziemi każdy wzrok się toczy...
A gdy to dziać się będzie — ja otworzę oczy!

Znowu kiedyś w to miejsce, gdzie ja w grobie leżę,
Lud pośród ciemnej nocy na wiecę się zbierze.
Po niebie rozpostarły się czarne chmurzyska,
Z oddali huk dochodzi głuchy, czasem błyska,
W powietrzu cisza wielka, duszno — będzie burza!
A tu w ciemnościach błoni często się wynurza
Po kilka, kilkanaście postaci a białych:
To lud schodzi się z wiosek w koszulach niecałych,
Głodny, jeźli pogardził bydlęciem dziś zdechłem.
Nie jeden ośmielony swem grobowem czechłem,
Wmieszał się w ten tłum biały, dawniej jemu nierad,
Teraz ze szkoły grobu wstały konfederat.

Zwiększa się rzesza chłopów; w środku tego tłumu
Stoją starce, posągi powagi, rozumu —
Rzekli: Zwołaliście nas, czego od nas chcecie?
A młodzi: Wy pytacie? dobrzeż wam na świecie? —
I z nagich, suchych piersi słowa najprzód smętne,
A potem rwą się krzyki chropawe, namiętne —
I wznoszą się do góry zaciśnione pięście.
Gołębi na sokołów zmieniło nieszczęście!
Więc starce głos podnieśli — spokojnie i długo
Płynie ich święte słowo z ojcowską posługą,
Coraz żywiej, płomienniej pierś u ludu dyszy —
Już powaga tych starców nie zdobywa ciszy
I okolnych słuchaczy złamały się ramy,
Skoczyły ręce w górę i grzmot: Przysięgamy!
A w odpowiedź błyśnięciem spojrzał okiem całem
Bóg synajski — a słowo to stało się ciałem!
Schyliły się w pokorze trwożne ludu dusze....
A gdy to dziać się będzie — to ja się poruszę!

Nakoniec przyjdzie chwila... oh! czy ona bliska?!
Cała armja wybiegnie tu na te pastwiska,
Tysiące kós zabłyśnie na tej sianożęci.
Policzą się ci drobni, wyprostują zgięci!
Będzie bój, jako żaden od wieków nie słynie;
Dla trupów miejsca braknie, bliski San krwią płynie,
W gołębich dawniej piersiach wre wściekłość tygrysia,
Na ustach jedno hasło: Nigdy albo dzisiaj!
Od dusz ulatujących aż powstaje wiater,
Kto stoi czy upadą, każdy z nich bohater;
Dzieci biegną za kulmi, co jeszcze ogniste;
I darzą rozpacznego już artylerzystę;
Kobiety myją rannych — a najlepsze szmaty
Krzyk nad konającemi: To za nasze chaty!
Skończył się bój zwycięzki. — Głębokim oddechem

Odetchnęli — a potem i z płaczem i z śmiechem
Rzucają się w ramiona szczęściem wniebowzięci —
Ci, co jeszcze konają', konają jak święci —
A żywi z wysilenia na ziemię upadli,
Płaczą i oddychają....
Na ich nogi zbroczone krwią, na nogi bose,
Bóg spuszcza na obmycie czystą, białą rosę;
Zachodnie niebo płonie radością rumiane....
A gdy to dziać się będzie — to ja zmartwychwstanę!! —

r. 1857.

Z LEGENDY:

PŁUG I SZABLA.*)

1.

Było to bardzo dawno, dawniej niż świat stoi,
Toż nie mogą pamiętać tego ludzie starzy —
Po bitwie z szatanami wracał w pełnej zbroi
Święty Michał na czele niebiańskich husarzy.
Pospolite ruszenie rozpuścił do domu,
A sam jeszcze lustrował kwarciane szwadrony —
Tym dał chwałę, tym lekką naganę — jak komu;
I ścierając znój z czoła, bitwą rozogniony,
Nie obmywszy się ze krwi w boski dworzec kroczył,
I wkroczył jak zwycięzca — śmiało i wspaniale.
Więc zaledwie hetmana swego Pan Bóg zoczył,
Powstał z tronu: „A witaj mi święty Michale!

*) Autor tej legendy zastrzega się przeciw wszelkim podejrzywaniom go o nieuszanowanie dla religii. Fantazya ludu tworząc legendy, wchodzi zawsze z ziemskiemi pojęciami w świat nadzmysłowy; podsuwa nawet Bóstwu słowa i uczucia ludzkie. To, co zdaje się być humorem, jest tylko dziecięcą naiwnością. Autor miałby się za grzesznego, gdyby czuł, że uderzał w struny dowcipu — on uderzał w poważne struny ludowej prostoty. Wiersz ten, chociaż nieraz wywołuje uśmiech, bez uśmiechu był pisany. Przypisek autora.

On zniżył się w pokorze i ugiął kolano.
„Zmachanyś waść!“

„Świadczę się tą zbroją rumianą
Boże mój miłościwy, żem nie szczędził dłoni;
Zajeździłem pięć koni — no, ale w pogoni.
Niech żyje Bóg! Zwycięzką składam ci buławę,
Czyste wielkiej ojczyzny oddając granice.
Z tym paskudnym djabelstwem djablą miałem sprawę —
Ale teraz, gdy zdala ujrzy mą przyłbicę,
Zmykać będzie w przestrachu za dziesiąte piekła,
Ta reszta niedobitków, która mi uciekła.
Nie powstanie już więcej ten chytry pyszałek —
Zkąd kuchcie do patyny! — To mi gad, to śmiałek!
Wzdy zgniecon już na zawsze — już spokój. — Cześć Bogu!
Na wieczne, wieczne czasy przytarłem mu rogu!“
To mówiąc hetman boży bardzo się zapalił,
Machał ręką jak kiedy djabłów w piekło spychał;
Słuchano go w cichości — Pan Bóg go pochwalił
A trąby uderzyły: Wiwat święty Michał!

I rzekł Pan Bóg: „A odpasz to mieczysko długie“ —
Długi był na trzy mile — „już na boje drugie
Nie pójdziesz; rzuć go w otchłań, a sprawię, że zniknie.“
On na to: „Miły Boże! toć na ten rynsztunek
Ja przecie zarobiłem; a szabla jak trunek —
I anioł za nią ztęskni, kiedy raz przywyknie —
A jeszcze taka głownia! bez skazy, bez szczerbu,
Czysta, jasna jak splendor anielskiego herbu!
Niech ja już to żelazo na pamiątkę noszę —
Królu mój miłościwy — bardzo o to proszę.“
Więc pozwolił mu Pan Bóg przez wzgląd na zasługi.

I chodził święty Michał przez wiek wieków długi,
Po świetlicach niebieskich w żelaznej odzieży,

Z posadzek brylantowych dobywając brzęki.
Z początku rozkoszował w nich jak żołnierz świeży,
Lecz później ile razy wziął szablę do ręki,
Czuł, że go pali w dłoni wojenne zarzewie;
Gdyby choć jakie mustry, albo jakie rewje —
Miałby czem swe marsowe zapały ostudzić;
Ale tego nie znano — więc zaczął się nudzić.

Przed tron raz przystąpiwszy, rzekł do Pana Boga:
„Wyszlij mnie Panie Boże na jakiego wroga —
Wszak dałeś mi tę szablę ku swojej usłudze,
A w ciągłej bezczynności na śmierć się zanudzę;
Chodzę z kąta do kąta i aniołów straszę —
Chyba mi już zwierciadłem zostać w mojej blasze,
Dla rozkochanych w swojej piękności anielic —?
Wzdy potrzeba takiemu zwierciadłu oh! nie lic
Uśmiechniętych, lecz wrogów gromadę zaczepną,
Co zapędzą się, spojrzą — padną i oślepną.
A teraz ja straszydłem tylko dla gawiedzi!
Ten Lucyfer jak zalazł w piekło, tak i siedzi.
Widzę, że i zwycięztwem można sobie szkodzić.
Nie trza było djabłowi tak ostro dogodzić —
Byłby się ruszał jeszcze."

Pan Bóg się uśmiéchał
I jak na dziecko patrzał. Odszedł święty Michał,
Ciągle nosząc swej troski nieulżony ołów —
I był najnieszczęśliwszym najstarszy z aniołów.

Aż gdy po długich wiekach przyszła ta godzina,
W której Bóg na tę ziemię wysłał swego Syna,
Aby ją splugawioną krwią oczyścił własną
I postawił przed Ojcem promienną i jasną —
Umyślił Bóg, choć nieco wahał się w początku,

Dać świętego Michała swojemu Dzieciątku
Za straż, co pierwsze kroki Dziecka ubezpiecza —
Lecz nakazał, by nigdy nie dobywał miecza.

Chodził więc święty Michał za Panem Jezusem;
Do ucieczki egipskiej nagiął się z przymusem,
I nawet z Marją Panną w skutek tej ucieczki,
Podczas drogi do małej przychodziło sprzeczki.
Rozgderawszy się mówił: „Trza było przeczekać —
Nie godzi się Synowi Bożemu uciekać!
Bezpiecznie można było zostać w Nazarecie —
A teraz, Bóg wie na co, włóczym się po świecie.
Nie dobywając szabli, zabiłbym Heroda
Ot tą pięścią — i spokój; — a i dzieci szkoda!
Już to Pan Bóg łagodnie postąpił z tym wrogiem —
Tyle dzieci! mój Boże! — Od czegóż być Bogiem?!“
A więc Najświętsza Panna zfukała bluźniercę:
„Zczłowieczałeś jak widzę, ludzkie już masz serce,
Czemuż nie masz rozumu pobożnego człeka,
Co korzy się przed Bogiem, lecz go nie docięka —?
Ty tajemnice boże chcesz przebić swem czołem?
Pyłem jesteś przed Bogiem chociaż archaniołem!
Żal ci krwi niewiniątek? — a może anieli
Zazdroszczą tym wybranym tej krwawej kąpieli.
Nie wiesz, że krwi ofiarą zdobywa się ducha,
Że tę ziemię niepłodną łzami trza polewać,
Że na niej rosną tylko osty, kiedy sucha —?
Ja chwały mego Pana nie przestanę śpiewać,
Choć wiem, że abym doszła do siódmego nieba,
Ze siedmioma mieczami w sercu iść mi trzeba;
Święta jest wola Jego — a jam służebnica.“

Archaniołowi wstydem zapłonęły lica
I łzy głębokiej skruchy pociekły mu strugą,

Gdy usłyszał królowę, co się głosi sługą.
Bił się w czoło i sarkał na siebie: „Ot głupi!
Czym ja od Lucyfera zaraził się pychą?
To królowa aniołów! a patrz, jak jest cichą!
Gdy komu wadzi serce — to niech go wyłupi!...“
I długo za świętego Józefa się chował
A ukradkiem Maryji kraj szaty całował.

Odtąd przed wolą Boga zginał się w pokorze
I był jako owieczka, choć żołnierz i mściciel —
I chodził za Chrystusem, gdy już Nauczyciel
Rzucał słowa żywota, nito głodnym zboże.
Acz w końcu nie odebrał z wytrwałości chluby,
Bo znów go krew uniosła w chwili strasznej próby.
Bowiem w nocy ostatniej na Oliwnej górze,
Kiedy Chrystus oddawał się w ręce siepaczy,
On stojący przy furtce w ogrodowym murze,
A ujrzawszy żołdactwo — w żalu i w rozpaczy
Chwytał już za rękojeść... i wstrzymał się w pędzie —
Spostrzegł się i wnet rękę opuścił bezwładnie,
Bo słowa nie dotrzymać bardzo jest nieładnie,
A dał słowo, że nigdy miecza nie dobędzie.
Lecz gdy widział, że żołnierz pochwycił za ramię
I wlókł Syna Bożego — a wojenne znamię
Miał Piotr przy boku — szepnął do świętego Piotra:
,A palnijże po uszach choć ty tego łotra!
Niech nam Chrystusa Pana nie biorą na sucho!“
Święty Piotr dobył szabli — i zleciało ucho.

Spostrzegł Pan Bóg, że będzie z nim trudniejsza sprawa,
W chwili, kiedy ofiara ma się pełnić krwawa;
Że choćby miał i słowa swego nie dochować,
Święty Michał Chrystusa nie da ukrzyżować;
A że go wielce cenił i pełen był względu,

Więc świętego Michała odwołał z urzędu —
Inaczej świat nie byłby odkupionym światem,
Bo bez krzyża — a kręto byłoby z Piłatem.

Kiedy Chrystus poniósłszy śmierć krwawą na krzyżu,
Wracał z piekieł, ujrzał smutnego w pobliżu
Michała archanioła; ten do nóg się schylił,
Rany Jego całował i jak dziecko kwilił:
„A bądźże miłościwym dla mnie Chryste Boże!
Gdy Ty mi nie pomożesz — a któż mi pomoże!
Stary Pan Bóg coś gniewny — i ja się nie dziwię,
Miałby rację ukarać mnie — i sprawiedliwie.
Miałem spokój! a teraz schodzę na ohydę —
A jeszcze z własnej woli wlazłem w taką biédę;
Nie lepiej mi z innymi było hymny śpiewać —
Trzebaż mi było miecza jak dziecku zachciewać!
On to butną krewkością napoił me serce,
Jak wąż kusiciel szepcze ciągle o żołnierce;
Oto przy Twoich nogach tę pokusę kładę,
Co z nią zrobić, gdzie podziać — daj mi Chryste radę!"
A Chrystus odpowiedział: „Oto miecz ten skruszę
Miłośnem przebaczeniem. Uwolniłem dusze
Pokutujące w piekłach za śmiertelne grzechy...
Bom nie jest wysłannikiem kary — lecz pociechy,
Ani ja jestem sędzią, — lecz dawcą otuchy.
Oto pragnę i żądam, ażeby złe duchy
Nie chadzały z pokusą na glob odkupiony,
Nie podnosiły w ludziach już dłużej złych chuci
I nie stawiały sobie swych bożyszcz na trony;
Ach! bo te ludzkie dusze bez tego tak słabe...
Toż kiedy ciebie miecz ten i męczy i smuci,
Użyj go po mej radzie za zaworną sztabę
I załóż nią na zawsze te piekielne wrota,
Niech na świat nie wychodzi szatańska niecnota."

Święty Michał przed wolą Chrysta się ukorzył,
Odpasał szablę, bramę piekła nią założył;
Po zawieszeniu broni odszedł święty Michał,
Ale wziąwszy dymisję, zawsze nieco wzdychał.

2.

Był naród mieszkający na wielkiej płaszczyznie,
Co bujała to trawą, to lasami żyznie,
A niedalekie morze dla tej ziemi synów
Wyrzucało na brzegi kawały bursztynów;
Te przekłute na wylot, zsilone na sznurek
Zdobiły białe szyjki niewistek i córek —
A bardzo tem cieszyła się każda niewiasta!
Lud ten żył po bożemu, nie wiedział co miasta,
O cesarzach nie słyszał nigdy, ni o królach,
I dzielił się na gminy, rządził się ojcami,
A od ojca narodu zwał się Lechitami,
I żył sobie swobodnie jako pszczoły w ulach.
A już całym narodem, co miał kształt pasieki,
Rządził Bóg uśmiechnięty okiem swej opieki.

Więc prowadził ten naród żywot cichy, sielski,
I pobożny był wielce i prawie anielski,
Że mogło się wydawać, jakby prosto z raju
Wyszedł na swe wygnanie z pamięcią dziewictwa,
I spełniał w przeznaczonym na pokutę kraju
Dany wyrok, bo prace i znoje rolnictwa.

Bóg dzieci nie opuszcza, choć je czasem karci,
I łatwo zdobyć łaskę pełniąc Jego wolę,
Więc szczęśliwym był lud ten uprawiając rolę
I chodząc z troskliwością około swych barci.

Lubiał pieśni, co słodzą rolnictwa mozoły:
Więc pracował i brzęczał tak jak czynią pszczoły.
Jaki zachód, chleb taki — skutek rodzą środki:
To świętym był jak ziemia i jako miód słodki.

I chodził w białem płótnie własnego wyrobu,
I w takiem białem płótnie chował się do grobu,
Nie mając żadnej krwawej plamy na odzieży;
Bez pochuci do kłoteń, nie znający wojny,
Nie szukał za żelazem, co gdzieś w ziemi leży;
Więc rozrastał się mnogo — rojny, bo spokojny.

Był to widok ucieszny nieraz dla aniołów,
Gdy lud ten pod lipami usiadłszy u stołów,
Przysłuchiwał się chętnie radom braci starszej,
Co siedziała na wyższej kłodzie patrjarszej;
A opodal niewiasty piękne jak królowe,
Rańtuchami nakrywszy ścięte włosy płowe,
Nito berła pokoju trzymają kądziele,
I wesoło szczebiocą — a wiele, a wiele.
Nad niemi na rumianej owocem jabłoni
Kilka głosów dziecięcych wśród gałęzi dzwoni;
A pod drzewem siostrzyczki, oczka i fartuszek
Podniosłszy, do czerwieńszych milą się jabłuszek
I do sprytnych braciszków, coby je natrzęśli.
A tu słychać gęślarzy strojących swe gęśli...
W długich szatach, z koroną dębową na głowie,
Wyszli cicho z zieleni jak dobrzy bogowie;
Ich przyjściu dziwny jakiś powiew towarzyszy:
Starce, dzieci, niewiasty — wszystko tonie w ciszy.
O czarodziejska władzo sławiańskich śpiewaków,
Ty nawet do posłuchu zniewalałaś ptaków!
Oto lecą z pod strzechy już ku nim gołębie,
I u stóp czarodziejów siadły niestrwożone;

Tam bocian ruszył z gniazda na zeschniętym dębie,
I rozkraczył przed nimi swe nogi czerwone;
I już od tych śpiewaków zdobyły na wieczność:
Bocian jasną powagę — gołębie serdeczność.*)

r. 1857.

*) Legenda ta znaną jest między zagonową szlachtą podgórza karpackiego. W dalszej jej treści, św. Michał pokochawszy pobożne plemię Lechitów, gdy widział ich umęczonych przy uprawie ziemi, którą w braku żelaza obrabiali drewnianemi sochami — odłamał połowę swego miecza, narobił lemieszów, urządził pługi i obdarzył niemi swoich ulubieńców. Po niejakim czasie, lecąc nad ziemią, obaczył łuny pożarne i usłyszał lament wielki: — to Germany palą lechickie sioła i mordują mieszkańców! — a ci bezbronni, nieporadni, gołębiego serca, poddają się losowi w bezwładności rozpaczy. Nie było chwili do namysłu; porwany uczuciem św. Michał, co tchu dopadł piekielnej bramy, oderwał resztę swego miecza, nakuł z niego mnóstwo szabel i wraca czemprędzej na ziemię, kędy ogień i krew. Lechici ledwie dotknęli się anielskiej broni, poczuli się rycerzami i uderzywszy na nieprzyjaciół, wyrugowali ich ze swoich siedzib. Od tego czasu rysuje się wyraźnie historyczny charakter narodu polskiego: na poły sielski, na poły rycerski, z jakiemś owianiem anielstwa; ale także od tego czasu uwolnione szatany rozbiegły się po świecie! Nasz drogi archanioł w nie mały popadł ambaras; nie mało nasłuchał się wyrzutów od Chrystusa Pana. Podjął się więc wychowania Polaków i w ostrej ćwiczy ich szkole w tej nadziei, że oni kiedyś w przyszłości oczyszczą świat ze szatanów i boże na nim zaprowadzą rządy. Snać ta przyszłość musi być niedaleką, kiedy nadzieja Świętego stała się za naszych czasów wiarą wszystkich wieszczów Polski. Przypisek autora.

MELODYE BIBLIJNE.

DWAJ ANIOŁOWIE.

WSTĘP.

ANIOŁ MELODYI (IZRAFIL).

Z harfą hebrajską przewiewam samotny
Po białych chmurach, co nieznają gromu,
Łez moich cichych pociąg wilgotny
Rdzawi jej struny. — Komuż ją dam, komu?

Gdzież owe czasy króla-śpiewaka,
Gdzież owe wieki półaniołów-ludzi,
Kiedyż głos taki, kiedyż pieśń taka
Drzemiące gwiazdy do chóru obudzi.

Znałem ja piewcę młodego z zachodu,
W prochu spodlenia czołgać on nie umiał,
I wydał wojnę zbrodniom swego rodu,
I przeklął winnych, — to też mnie zrozumiał

I gdym mą harfę podał mu do ręki,
Tak po mistrzowsku palce mu biegały,
I w takie smutne zadzwonił piosenki,
Że się judejskie groby rozpłakały.

Z harfą hebrajską przewiewam samotny
Po białych chmurach, co nieznają gromu,
Łez moich cichych pociąg wilgotny
Rdzawi jej struny. — Komuż ją dam, komu?

MÓJ ANIOŁ.

W cieniu mych skrzydeł tulę ziemskie dziecko,
Sławą i pieśnią nie wzleci wysoko,
Ale ma duszę czystą i nieświecką,
Serce do uczuć, do łez skłonne oko.

I chociaż orłom w locie nie wyrówna,
Chociaż przy ziemi nieraz zaszybuje,
To pieśń mu pójdzie jako nitka równa,
Której nie zerwie — aż całą wysnuje.

Daj mu twą harfę, melodji aniele,
On twoich żalów wiernem będzie echem,
Bo w jego kraju nie mieszka wesele,
W jego narodzie każdy śmiech jest grzechem.

Głos drżący łzami wtórem dla twej lutni,
A im pieśń każda śród bolów dojrzewa,
O! to on smutny, bo tam wszyscy smutni...

ANIOŁ MELODYI.

Rzucam mu harfę żałobną — niech śpiewa!

I.

JUBAL.

21. **Imię zaś brata jego, Jubal: ten był ojcem grających na harfach i muzyckiem naczyniu.**
Genesis roz. IV.

Potomek Kaina, zrodzony na biédę,
Po ziemi wygnania z moją harfą idę,
I dziecko tułacze och! nieraz zapłaczę,
Gdy wspomnę na raj nasz, — na Eden.

Choć jedzą chleb w znoju synowie Lamecha,
Im w myśli swoboda i w sercu uciecha,
Choć jedzą chleb w znoju! — a ja w niepokoju
Za wszystkich sam cierpię — ja jeden!

Synowie Lamecha zbytkują nademną;
Gdy ujrzą twarz moją w noc cichą a ciemną
Na harfie opartą, jak niebo otwartą,
Jak księżyc promienną i bladą:

To wtedy pełzając mój namiot podchodzą,
Mój namiot z gałęzi, gdzie pieśni się rodzą,
I ciężkie swe dłonie jedni mi na skronie
A inni na struny pokładą.

Choć jednej nawiązać struny nie umieją,
Synowie Lamecha z mej harfy się śmieją,
Do jarzma wdrożeni, od Boga wzgardzeni,
O raju straconym i nie śnią.

A jabym w ich piersiach zaszczepić chciał bole,
By żywo uczuli swą własną niedolę,
A potem znużone te serca skrwawione
Cieszyłbym nadzieją i pieśnią.

O! ojciec ja pieśni, gdy siądę na górze,
To orzeł przelotny usiada na chmurze,
I długo mnie słucha nim skrzydła rozrucha
I dalej z wiatrami poleci.

I nieraz gdy śpiewam, to leśni ptakowie
Bez trwogi siadają na młodej mej głowie,
A zejdzie li gwiazda, to lecą na gniazda
Wyuczać mej pieśni swe dzieci.

Synowie Lamecha wzgardzają pieśniami —
Lecz kiedyś, o! kiedyś nadejdą ze łzami
Jubala obsiędą i prosić go będą
O jedną piosenkę — jałmużnę.

A kiedy z tą pieśnią przed Panem upadną,
To raju stróżowi miecz z ognia wykradną;
Na ziemi wygnania usłyszą wołania:
«Zwijajcie namioty podróżne!» —

II.

OSTATNIE GŁOSY SODOMY.

---

24. Tedy Pan dżdżył na Sodomę i Gomorę siarką i ogniem od Pana z nieba.

Genesis roz. XIX.

GŁOS PIERWSZY.

Na Boga! gdzie droga do miejskich, do bram,
Przedemną, nademną tu ognie i tam,
Z iskrami we włosach,
Po trupach, po stosach,
Ja lecę szalony w grób!

Wiatr szumi a tłumi mój oddech ten szum,
Żar pryska, a ściska, nie puszcza mnie tłum,
Hej, z drogi! kto żyje,
Bo nożem przebiję,
Daremnie... oh! padam... trup!

GŁOS DRUGI.

To do dnia pochodnia roznieca się już,
Na głowy ogniowy spadł wieniec nam z róż,
Ty drzysz mi na ręku?
O luba! bez lęku
Czekajmy w pieszczocie snu.

W połysku, w uścisku opada mi skroń,
Dym mroczy! — gdzie oczy, twe usta, twa dłoń!
Tam lawy wrą deszcze —
O luba! raz jeszcze
Pocałuj — bo konam — tchu!!

GŁOS TRZECI.

Ja młoda! o! szkoda urody i lat,
Bez życia, użycia odlatam mój świat,
O Boże mój, Boże!
Przed tobą w pokorze
Zanurzam twarz moją w proch.

Gniew boży tak sroży za jeden nasz błąd, —
Hej ludzie! kto w cudzie wyniesie mnie ztąd,
Kto wezmie na ręce,
Ja temu poświęcę
Mą młodość... ha! pali... och!

GŁOS CZWARTY.

Morderca bez serca wytępia swój ród,
I z nieba miast chleba śle ogień i głód,
Chce zniszczyć potopem,
To siarki ukropem,
Przez siebie wszczepiony grzech.

Choć skryła mogiła mnie węgli i siark,
Nie ścielę w popiele przed tobą mój kark,
Lecz w twoje otchłanie
Jehowo-szatanie
Wyrzucam przedśmiertny — śmiech!

GŁOS PIĄTY.

Ogrody! gdzie młody bujałem śród drzew,
Gdzie głośno, miłośno brzmiał dziewic mych śpiew,
Nie ujrzę was więcej!
I śpiewy dziewczęce
Ogłuchły przy ryku burz.

Nim zginę obwinę się płaszczem — ja król!
Dziewczęta, chłopięta, przytłumcie wasz ból,
Tu do mnie, tu do mnie,
Rozkosznie, przytomnie,
Obsypcie mnie liściem róż.

Na łona ramiona zarzucam jak wąż —
Hej czary, puchary! hej harfy nawiąż!
Skry lecą — dym krztusi,
Kto ogień przydusi
Dostanie mej ziemi... ćwierć!

Popiołem padł kołem tłum wierny mych sług,
I wyżej i chyżej żar czepia się nóg,
Na pomoc! ha, płonę!
Zerwijcie koronę,
Co pali skroń moją... Śmierć!!

GŁOS LOTA.

Spokojny śród wojny wprzód kroczę jak w śnie,
Choć płomień swój promień ku drodze mej gnie,
To żądło płomienia,
Od mego odzienia,
Sykając ucieka wstecz.

Gdzie zwrócę, a rzucę zaklęcie mych słów,
Blask zmierzcha — i pierzcha tam bladych sto głów,
Gdzie spojrzy me oko,
To dymy się wloką,
Daleko odemnie precz.

Przewodnią pochodnią jest dla mnie ten gród,
Dla wiary bez miary wypełnia się cud,
Kto bożym wybrańcem,
Za cnoty swej szańcem
Bezpiecznie ma w ogniu iść.

Straszliwy a mściwy Jehowy jest sąd,
Dla złego gniew jego, oh! sroższy niż trąd.
Choć złość się rozwinie,
To marnie zaginie
Jak zwiędły w jesieni liść.

III.

SŁUP SOLI.

26. A obejrzawszy się żona jego nazad, obróconą jest w słup soli.
27. Abraham lepak wstawszy rano gdzie pierwej stał z Panem,
28. Pojrzał na Sodomę i Gomorę i na wszystkię ziemię onej krainy i ujrzał w górę lecący perz z ziemi jako dym z pieca.

Genesis roz. XIX.

Wstał rano Abraham i wstąpił na wzgórze,
A poschły tam cedry, powiędły tam róże,
A z dolin siarczane wznosiły się kurze.

I z ręką na sercu i z ręką na czole
Napróżno coś szukał, — wciąż pole i pole,
Ni drzewa, ni kwiatu nie było tam w dole.

I tylko obaczył tło czarne jeziora;
Więc smutno zadumał: Sodoma! Gomora!
Ach, jakaż to straszna w twej śmierci pokora!

Gdzie twoje okrzyki, gdzie twoje biesiady,
Gdzie gmachy złocone, kwieciste twe sady,
Gdzie piękność twej ziemi, a ludzi szkarady?

Rozkoszą zmęczona gdyś wczoraj się kładła,
Czy też ci mówiły to senne widziadła,
Że dziś cię zakryją jeziora zwierciadła?

I kędy popatrzę i pusto i głucho,
Nie widzi nic oko, nie słyszy nic ucho,
Aż w piersiach nie lekko i w oczach nie sucho.

Mówiłem do Pana: jeśli pięćdziesięciu
Jest prawych, to nie trwaj w swojem przedsięwzięciu;
A Pan rzekł: Mój sługo, tam nie ma i pięciu!

Sodomo! Gomoro! chodziłaś w swawoli,
To Pan cię nawidził, — i zamiast niewoli,
Śmierć zesłał na ciebie: — błogosław swej doli!

I umilkł Abraham, bo gałąź zwieszona
Odkryła mu nagle słup, co miał ramiona
I głowę — ta była ku miastu zwrócona.

Więc lepiej odchylił spalone cyprysy
I długo poglądał na słupa zarysy,
Na głowę, co miała znajome mu rysy.

Ze strachem się podniósł i podszedł ku drodze,
I poznał twarz oną, zkamieniałą w trwodze,
I głośno zapłakał — bo zmartwił się srodze.

I usiadł pod słupem zemdlony mozołą,
I w dłonie drgające zaciągnął swe czoło,
A płacz swój serdeczny i oczy skrył połą.

IV.

HAGAR NA PUSZCZY.

14. Wstał tedy Abraham rano i wziąwszy chleb
i bukłak wody, włożył na plecy jej i oddał
jej dziecię i odprawił ją, która poszedłszy
błądziła w puszczy Bersabee...
15. A gdy niestało wody w bukłaku...

Genesis roz. XXI.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A w koło pustynia; — do Ciebie, Jehowa
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw Panie! by niebo nademną wychłódło,
I skały granitu zmień Panie na zródło,
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popękał na naszych sandałach,
I cierpi i płacze mój syn.
Jam Panie kochała i była kochaną,
Szczęśliwą, — to słusznie, że jestem karaną,
Lecz syn mój Ismael — bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Ismael opada jak kwiat;
Ja tobie o Panie! natenczas się kłaniam,
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając, gdy zdrzymię na piasku,
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku:
Dławionej Gazelli to wrzask;
A w koło szakale oczyma mi świécą,
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O Boże!
Ismael się zachwiał — iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg,
I usta otworzył — o Panie! on pragnie,
O Panie! Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och wody, och rosy,
Kropelki, kropelki choć dżdżu!

V.

REBEKA.

16. Dziéweczka zbytnie ślicsna i panna bardzo piękna . . .

Genesis roz. XXIV.

Ogłuszał wieczór ciszą nakryty
Mury Aramu bielały,
Zachodnie góry na sine szczyty
Słońce z błękitu ściągały.

A przed Aramem na staj nie wiele
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami skubając ziele
Wielbłądy w rząd się pokładły.

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzepując rosy na łące;
Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego słudzy od karawany
Gwarzyli wsparci na siodłach;
On tylko jeden stał zadumany
I tak rozmyślał w swych modłach:

«Obce tu niebo — obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno;
I z powitaniem nikt nie pospiesza,
Choć niby ludno — odludno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysiągłem przywieść synowę,
Lecz nie poradzę — gdy łaską szczodrą
Bóg nie uświęci mą głowę.

Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech Jego w niej będą rządy:
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy.» —

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta,
W bieluchnej szacie, z dzbankiem na głowie
Szła zwolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna, jak gałąź wina,
Jak mgły nad łąką, co wiszą;
Nie tak się palma zgrabnie przegina,
Kiedy ją wiatry kołyszą.

A tak srebrzała na tle murawy,
Jak biała lilja w dolinie;
A taką lekkość miała z postawy,
Że się zdawało — że płynie.

Czarne jej włosy rozwiane iściem
Spadały na białe lica,
A tak pod ciemnym cyprysu liściem
Ognieździa się gołębica.

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modrej wodzie schyliła,
To na dnie studni w wodnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

A gdy podniosła się z koneweczką,
Podróżny, co stał przy zdroju,
Rzekł jej łagodnie: Piękna dziéweczko,
Udziel mi trochę napoju.

I wnet z ramienia naczynie zdjęła,
Na miękkej złożyła dłoni,
I na paluszkach drobnych się wspięła,
I dzban ku niemu nakłoni.

Podróżny niby zanurzył głowę,
Leniwo pociągał wodę,
Pił przez połowę, a przez połowę
Poglądał na jej urodę.

A ona rzekła: Wyście z daleka,
Wam kurzem szata okryta,
I wielbłąd smutny na wodę czeka,
Patrzając w próżne koryta.

A słudzy cisną głowy w zawoje
Znużeni męką podróżną —
To ja wielbłądy wasze napoję,
Pozwólcie być wam usłużną.

I poszła wodę czerpać dla stada.
A obcy człowiek na boku
Pokornie ręce na piersi składa,
Z wilgotną modlitwą w oku.

I patrzał w niebo długo i długo,
I wyrzekł słowy cichemi:
«Wielki Bóg litość miał z swoim sługą —»
I skłonił czoło ku ziemi.

VI.

IZRAEL W EGIPCIE.

13. I nienawidzili Egipcyanie synów Izraelowych i trapili je, naigrawając ich.
14. I ku gorzkości przywodzili żywot ich robotami ciężkiemi......

Exodus roz. I.

IZRAEL.

Uderzmy w głosy! żal podajmy niebu!
Jak struny poschły nam żyły,
I nasi bracia giną bez pogrzebu,
A wiatr im sypie mogiły.
A naszym synom każą wznosić mury
Na trupach ojców, co skonali z trudu.
Młoty w góry! głosy w góry!
Cudu! cudu! cudu!

CHÓR BICZOWNIKÓW.

Syczący gadzie! ucisz głos,
Bo zbudzisz Faraona;
Milczeć i cierpieć — to wasz los,
Milcząc niewolnik kona.

Dalej do pracy! cegły licz,
A zatłum płacz i zgrzyt —
Po waszych grzbietach puszczam bicz...
A cyt! a cyt!

IZRAEL.

Farao usnął w puchowym rozmięku,
Rozkosz go skryła w bławaty,
A my czuwamy z kamieniami w ręku
Jak śpiących żórawi czaty.
A twarze nasze sine, jak marmury,
A włos nasz pełen popiołu i brudu....
Młot do góry! głos do góry!
Cudu! cudu! cudu!

CHÓR BICZOWNIKÓW.

Niesforny rodzie! skarz się, skarz,
A my podwójmy ciosy,
Chciałbyś olejem maścić twarz,
Mirrą nakrapiać włosy?
Dalej do pracy! — cegły licz,
A zatłum płacz i zgrzyt —
Po waszych grzbietach puszczam bicz....
A cyt! a cyt!

IZRAEL.

Dla ptaków w polu pszenica się świeci,
Struś znajdzie gniazdo po biegu:
Oh, oh! Jehowa, — jednež twoje dzieci
Bez chleba i bez noclegu?
Słoniom kły dałeś i orłom pazury,
A niedasz broni dla twojego ludu?

Młoty w góry! głosy w góry!
Cudu! cudu! cudu!

CHÓR BICZOWNIKÓW.

Bogiem niemocy jest wasz Bóg,
Pasterzy rodzie podły!
A w jasne niebo nie ma dróg
Dla niewolników modły.
Dalej do pracy! cegły licz,
A zatłum płacz i zgrzyt —
Po waszych grzbietach puszczam bicz....
A cyt! a cyt!

STARZEC Z IZRAELA.

Nieście mnie syny na górę — bo konam!
Twarz mą obróćcie do wschodu —
A patrząc w słońce srogi ból pokonam,
Choć konam z męki i z głodu.
Patrzcie! tam z Nilu ustępują chmury,
Promień ozłocił zamglonych wód końce....
Skargi na dół! hymny w góry!
Słońce! — słońce! — słońce!

Patrzcie! tam z Nilu — tam — kędy sitowie,
Mąż wielki przed słońcem kroczy,
A dwa płomienie grają mu na głowie,
W oczach gra zapał proroczy.
Ogniową laską dzieli wód lazury,
Laska się w węża przemienia latawca....
Skargi na dół! hymn do góry!
Zbawca! — zbawca! — zbawca!

VII.

HYMN WYCHODŹCÓW Z EGIPTU.

1. Śpiewał tedy Mojżesz i synowie Izraelscy tę pieśń Panu.

Exodus roz. XV.

Chwalmy Pana! bo wielkim jest Bóg Izraela —
Lew przed nim jako wielbłąd pod juką uklęka,
U stóp Jego grom chyży płazem się rozściela,
A strasznym jest gniew Jego, potężna ta ręka,
Co rzuciła plag dziesięć na nieprzyjaciela.

Farao nam bez plewy kazał robić cegły,
I lud głodem morzony poprzyganiał biczem,
A stosy naszych trupów pustynie zaległy.
Lecz my Panie, za Twojem szukali obliczem,
I hymny naszych jęków do Twych uszu biegły.

I położył Swe oko Pan na lud cierpiący,
I otworzył Swe ucho na boleści głosy,
I przyszedł do Egiptu jako wiatr gorący,
Gdzie powiał, syny pychy padały jak kłosy,
A dla nas był łagodny, jak rosa chłodzący.

I zatwardził Pan w gniewie serce Faraona,
Zdjąć nie chciał z Izraela okowy poddańcze,
To Pan pierworodnego zabił mu u łona,
Na lud rzucił zarazę, na pola szarańczę,
Zgasił słońce, — że kraj był jak ciemnia sklepiona.

I przywiódł Izraela nad czerwone morze,
A za nami brzęczały pogoni oręże,
A Pan rzekł: Przez te wody drogę wam otworzę,
A jak ołów potoną ich wozy i męże.
I oto tak się stało, jak mówiłeś Boże.

Chwalmy Pana! przed nami On stępuje przodem,
W nocy słupem ognistym a we dnie obłokiem,
Do ziemi obiecanej dojdzie z swym narodem,
A znużone nam dusze pokrzepi widokiem
Kraju wiosny, co płynie i mlekiem i miodem.

VIII.

PAN W GNIEWIE.

14. A jeśli mię nie usłuchacie i nie zachowacie wszystkich przykazań moich,
16. Ja też wam to uczynię....

Leviticus roz. XXVI.

Przyjdzie wróg wasz z licznemi jak gwiazdy zastępy,
A sprawię, że wam ręka kamieniem ocięży,
Waszą strzałę wiatr zniesie, wasz miecz będzie tępy,
Zawiść wam rzucę w serca, i wróg was zwycięży
Waszą bronią, — padniecie krwią zlani, a sępy
Po polach włóczyć będą ciała waszych męży —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Wróg jak szakal o ścierwo, targować się będzie
O wasze dusze, — kraj wasz rozerwie na ćwierci,
I na moim ołtarzu w koronie usiędzie,
A klin wbity do ziemi tak wam kark przewierci,
Że nie ujrzycie gwiazd mych, ni mnie, com jest wszędzie,
Że zbawieniem wam będzie ciężka chwila śmierci —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

A jedni w obce kraje pójdą na tułactwo,
Konać będą z zwróconą ku swej ziemi twarzą;
A drudzy wór obloką i liche żebractwo
U progu pełnych stodół na głód się poskarzą;
A inni — zaślinione, plugawe robactwo
Własny naród obrzucą zdradą i potwarzą —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Piorunem na was spadnie mojej klątwy słowo,
Od ust wam chleb uciecze, a woda od dzbana,
I zawieszę wam niebo żelazne nad głową,
A ziemia wasza będzie martwa i miedziana,
I stanie się przedemną łzawicą kruszcową,
Dopóki jej nie spali łza w środku rozlana —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Chmury na was miast deszczem posypią popiołem,
Skwar słońca wasze ciała pokurczy, pokarli,
I czołgać się będziecie z osłoniętem czołem,
Żałobnicy, co w bolu swe szaty rozdarli,
A nikt was nie pocieszy wieszczeniem wesołem,
Z swych grobów kląć wam będą ojcowie umarli —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

IX.

BALA-AM.

11. I rzekł Balak do Balaama: «Cóż to jest, co czynisz? Abyś przeklinał nieprzyjacioły moje przyzwałem cię, a ty przeciwnym obyczajem błogosławisz im.»
12. Któremu on odpowiedział: «Ażaż mogę co inszego mówić, jedno co każe Pan?»

Numeri roz. XXIII.

To mówi Bala-am: Niech Moab mnie słucha,
Bom wstąpił na jego ołtarze;
Pan usta przyłożył do mojego ucha,
Ja prawię, co wielki Bóg każe.
Bala-am, syn Beor, wieszczek do was prawi —
Kłnijcie, co on przeklnie, sławcie, co on sławi!

Od siedmiu ołtarzy siedem ciągnie dymów,
Do nieba sięgają, do góry —
Widzicie! Pan złamał ramiona olbrzymów,
Na brudne przerobił je chmury,
I wiszą nad wami te dymy ofiarne
Jak myśli nieczyste, jak modlitwy czarne.

Na wielkiej dolinie u tych gór podnóża
Izrael rozścielił obozy —

Napróżno Moabie zalegasz te wzgórza,
Ku niemu wysyłasz wzrok zgrozy,
U pańskiej świątyni on stoi na progu —
Kto jemu złorzeczy, ten złorzeczy Bogu!

Trzykrotnie jest święty ten naród pokuty,
I święty w nim każdy z osobna,
Bo żywot był jego z nieszczęścia wysnuty
Jak szata dla sierot żałobna;
I długo w niej chodził w niedoli i w nędzy,
Nim podarł tę szatę z takiej szorstkiej przędzy.

O! naród to święty — ku swojej krainie
Pół wieku po puszczach wędrował,
Kościami własnemi zasiewał pustynie,
A miłość dla kraju przechował,
Toż siłę przysporzył i rozrósł się mnodze,
A biada tym, biada! co mu staną w drodze.

Na miecze, na włocznie po długich poswarkach
Przerobił swe laski pielgrzymie,
A teraz się zbliża, by na waszych karkach
Tym mieczem zapisać swe imię.
A jeśli się wielką srogością rozpasze,
To będzie wytępiał niemowlęta wasze.

Jak pięknie tam z wiatrem falują namioty,
Oblane strumienia półkołem,
Jak pięknie ku słońcu podnoszą się groty
I światłem migają wesołem.
Izrael po łąkach wysypał się rojem,
I gwarzy ponuro — bo tęskni za bojem.

Zerwijcie namioty, wy synowie burzy!
Potrząście, pobrzęczcie grotami!
I dalej w kraj własny! w ślad waszej podróży
Krew wrogów popłynie, — Bóg z wami!
Ja wieszczbiarz zgrzybiały, z Moabskiej wyżyny
Wasz pochód i wasze błogosławię czyny!

X.

PRZEKLĘCI.

14. I będą mówić Lewitowie i rzeką do wszech mężów izraelskich głosem wyniosłym:

Deuteronomium roz. XXVII.

Przeklęty! kto widział wielkie dzieła boże
A pokłon oddaje w służebnej pokorze,
Nie Bogu na niebie, lecz cielcu złotemu.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto mężem a swemu bliźniemu,
Za urząd, za strawę, za lepsze odzienie
Zaprzeda swą wolność i swoje sumienie.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto naród spokojny najeżdża,
I w nim się jak brzydka jaszczurka zagnieżdża,
I czystą myśl jego zaraża oddechem.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto z głupim pogląda uśmiechem
I gnuśny rozkoszą w bezczynności leży,

Gdy jego sąsiada wróg chytry grabieży.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto zdradnie swych braci odstąpi
I smutnym w niedoli łez i pieśni skąpi,
A wrogom najemną cześć i chwałę śpiewa.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! ktokolwiek z ojczystego drzewa
Rwał słodkie owoce, a cierpkie odrzuci,
Kto duszę od wspólnych utrapień odwróci.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! przeklęty, kto światło zbawienia
Zwątpieniem, niewiarą jak mgłami zacienia,
I wodzi swój naród w manowców zakręty.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, przeklęty, po trzykroć przeklęty!
Kto wroga oszczędzi, kto wroga ochroni
Gdy nad nim miecz zemsty w miecz sądu zadzwoni.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

XI.

MOJŻESZ PRZED ŚMIERCIĄ.

49. ..... a oglądaj ziemię Chananejską' którą ja dam synom Izraelowym odzierżyć ją, a umrzyj na górze.

Deuteronomium roz. XXXII.

1.

GWAR MIĘDZY LUDEM.

— Gdzie nasz wódz?
— Stary lew!
— A któż nas powiedzie?
— Mojżesz znikł!
— On, co zwykł stawać nam na przedzie.
— Czy się skrył?
— Wszak tu był!
— Snać rozmawia z Panem.
— Bóg wysoko, kraj nieznany, a wróg nad Jordanem!
— A cóż poczniem my nieszczęsne z małemi dziatkami —?
— Uciekajmy!!
— Panie, Panie, zmiłuj się nad nami!

— Gdzie nasz Bóg?
— Bogi są.
— Kto o Bogi pyta?
— Pójdźże precz!
— Ja mam miecz!
— Jam Pański Lewita!
— I cóż ztąd?
— Hej na sąd! utłuc go kamieniem!
— Swar na uście, strach na sercu — klątwa nad plemieniem!
— A cóż poczniem my nieszczęsne....
— Płacz niewiast, zaporą!
— W Egipt, w Egipt!
— Zwiń namioty, ruszajmy a skoro!

— W Egipt nam?
— Milsza śmierć niż wtóra niewola!
— Co za wieść?
— Cześć mu cześć!
— Za mną czyja wola!
Silna dłoń, ostra broń, ja was tam zawiodę.
— Silną dłonią z twardej skały czy wyciśniesz wodę?
— Hej Mojżeszu! nie zostawiaj nas w takiej ohydzie.
— Jam Mojżeszem, siła Bogiem!
— Cicho, Mojżesz idzie!

(Mojżesz wychodzi z przybytku prowadząc Josuego.)

MOJŻESZ.

I znowu swar? I znowu krzyk?
zmilknij bluźniercza głowo,

Bo zdeptam cię, jak miły Bóg!
        bo zdeptam jak wężową.
Skinę! — a przepaść pod wami otworzę,
Skinę! — a zagrzmi tu czerwone morze —
        Zagrzebię, zatopię was!

Ojcowie raz uporem swym
        z Jehową gdy się starli,
To błądząc szli przez cały świat,
        dopokąd nie wymarli!
I rzekł Pan srogi, co swe słowa iści:
«Do mojej ziemi wejdą tylko czyści,
        Wam zatracenie i śmierć!

Patrzałem dziś na piękny kraj
        płynący mlekiem, miodem —
A Pan mi rzekł: «Toż dzieci ich,
        motłochem nie narodem!
Przecz ja mam wpuszczać te niesforne trzody
W moje winnice i w moje ogrody —?
        Mojżeszu, nie żałuj ich.»

Więc ludu ty, sporny a zły,
        pokorę przyjm do łona,
Bo dotkniesz się zdroju i gór,
        i wonnych winnic grona,
Do Chananejskich przystąpisz krawędzi
Ale Bóg nazad od wrót cię odpędzi
        W puszczę na hańbę i głód.

A kiedy tam zmorzony snem
        na martwych legniesz piaskach,
To będziesz śnić o ziemi tej,
        o jej czarownych blaskach,

I wyschniesz duszą od długiej tęsknoty,
I zwisłe głowy w grobu piasek złoty
Z radością sam będziesz kładł.

A mówię ci, że jeszcze czas, —
ta ziemia obiecana
Przed tobą lśni, — ja tylko sam!
ja wrócę sam do Pana;
Na mojem miejscu Jozue, syn Nunów,
On, co ma władzę cudowną piorunów,
On będzie przed wami stać.

Lękajcież go, bo straszny on,
Jehowa go postawił
Jak z ognia słup; — włożeniem rąk
jam go pobłogosławił —
Błogosławieństwo i wam rzucam z dłoni,
Błogosławieństwo wodom, ziemi, broni,
I błogosławieństwo wszem!

(Mojżesz zakryty obłokiem wstępuje na górę.)

GŁOS LUDU.

Odszedł nas smutny, płaszczem kryjąc twarz,
Poruszył go żal głęboki;
Milszym tyś dla nas, o! Mojżeszu nasz,
Niż Jozue chmurnooki.
Zawyjmyż płaczem, by aż ziemia brzmiała:
Chwała mu, chwała i chwała!

2.

MOJŻESZ.

(Na górze — sam.)

Owoż ostatnia gospoda już bliska!
  Na górze Nebo, tu na Fasga szczycie,
Jak pielgrzym składa kij swój u ogniska,
  U nóg Twych Panie, złożę moje życie.
Jestem zmęczony, smutek mnie uciska,
  Słaniam krokami trwożliwy jak dziécie,
Albowiem jestem wracającym sługą,
Co z twoim skarbem błądził w świecie długo.

I niewiem jakiem sercem mnie powitasz,
  Twojemu słudze, czy dasz dobre słowo,
Czy go odepchniesz i z gniewem zapytasz:
  «Cóżeś uczynił? przecz to, a nie owo?»
A wszak Ty Panie w mojej duszy czytasz,
  Wiesz, jak Izrael miotał się przodkowo,
I ztąd nabawiał mnie boleścią wielką,
Jakobym jego miał być rodzicielką.

Twardego karku był Twój lud o Panie!
  Przed Twojem okiem hardo się prostował,
A ku mnie zwracał swą złość i szemranie;
  Maluczko raz mnie nie ukamienował.

Jako cień ze mną chodziło stroskanie,
  I długom, długo z tym ludem biedował,
Nie miałem ulgi widząc jego zakał,
Jeno gdym sobie w zakątku popłakał.

Miałem ja serce pokorne i ciche,
  Kiedyś rozkazał bym przed Tobą stawał;
I mnie wybrałeś sobie, koźle liche,
  Bym lwa srogiego przed ludem udawał;
Więc w smętne oko kładłem blask i pychę,
  I z tem udaniem zbiegłem świata kawał,
Spokojny, głowy nie nakryłem dachem,
A miłujący, wiodłem braci — strachem.

Bo też buntowny on lud wciąż się srożył,
  Wiecznie pragnący, pełen win i brudów,
I ledwie syty do snu się położył,
  Otwierał oczy i znów wołał: Cudów!
Jakiegoż króla onby nie zubożył!
  Ale nie Ciebie Panie, Króla ludów!
Boś Ty mu wszystko dawał co potrzeba,
W rodzajną niwę zamieniwszy nieba.

Wiem pocoś wodził nas morzem i lądem,
  Jam myśl Twą odgadł w błyskawicy gromu:
«Pamięć doznanej niewoli jest trądem!
  W kraj obiecany, do mojego domu
Nikt z nią nie wejdzie!» — Pod strasznym tym sądem,
  Nie przepuściłeś, Ty Panie, nikomu,
Bo zmarli moi rowieśni i bratni
Wszyscy, — a ja tu umieram ostatni!

Ale te dzieci to już się zrodziły
  W puszczy, niepomne egipskiego jęku,

I nie łzy hańby lecz Twą rosę piły,
  A jam je wszystkie wynosił na ręku.
Niechże się staną ramieniem Twej siły,
  I głoszą imię Twe w orężnym szczęku,
A groby ojców mając za podstawę,
Niech patrzą w niebo i niech rosną w sławę.
Twojej ten naród poruczam opiece,
  Sam już niezdatny na ziemię się kładę;
Wzdy łzę ostatnią czuję na powiece,
  A w sercu czuję niepokój i zwadę;
Wyciągam ręce, poglądam ku rzece,
  Piękna ta ziemia nasza! — przez mgły blade
Widzę świecącą Jozuego dzidę....
Lecz Ty mnie wołasz Panie — to już idę.

Nakryłem głowę starą — jak mi smutno!
  Raz jeden jeszcze zrobię sobie szparę
Dla słońca, — próżno odchyliłem płutno....
  Szumy, a wiatry, a obłoki szare....
Chanaan! Chanaan!........

XII.

JERICHO.

5. .... krzyknie wszystek lud okrzykiem wielkim, a upadną z gruntu mury miejskie.

Księgi Jozue, roz. VI.

Przez lat czterdzieści szli drogą pokuty,
Przez lat czterdzieści milczeli pod młotem,
I pierś ich w ogniu jako pancerz kuty
Jeno się głuchym skarżyła łoskotem,
Aż własnem ciałem stali się pancerni;
Kruszył się na nich oszczep, nakształt cierni.

I ducha swego nie trwonili w słowach,
Siedział on w głębi zasklepiony twardo,
I ledwie czasem z rękoma na głowach
W cieniu siadali milcząco i hardo;
A gdy ich boleść do żywa dojadła,
To z chmurnych oczu ledwie łza im spadła.

Nie frymarczyli oni łzą, ni skargą,
Nie rwali dłoni, nie miotali włosem,
Ale zaciętość stała przed ich wargą,
Każdy drżał w sobie skamieniałym głosem,

A na dno duszy swej to tylko składał,
Co w strasznych grzmotach groźny Bóg wygadał.

I z tą potęgą tajonego wnętrza
Jako tułacze przyszli pod Jericho —
Stoma wieżami ono się napiętrza,
Cielesnej siły zbudowane pychą,
A w swojem łonie kryje lud plugawy,
Lud z zwierzęcony, bez jutra, bez sławy.

Izrael widząc kraj polisty, śliczny,
Wyborny Liban, rozłog za rozłogiem,
Podniósł krzyk wielki, straszny, jehowiczny:
«Chwała naszemu Bogu, miecz nad wrogiem!»
Krzyk ten z głosami trąb zmieszany razem,
Uderzył w mury miasta jak żelazem.

Nie dotrzymały one temu ciosu,
Runęły baszty, rozwarły się bramy —
Izrael zdobył je potęgą głosu,
Z wzniesionym mieczem poszedł przez rozłamy,
I nie zostawił już nic w grodzie onym
Prócz krwi i węgli. — Biada zwyciężonym!

Dawne to dzieje! — w tem życiu jałowem
Dziś taka powieść na bajkę wyrasta —
Przecież ci ludzie, którzy jednem słowem
I budowali i burzyli miasta
Nie od aniołów taką władzę wzięli,
Nie! — tylko cierpieć i milczeć umieli.

XIII.

POCZĄTEK SAMSONA.

Rzecz dramatyczna w jednym akcie.

24. Porodziła tedy syna i nazwała imię jego Samson. I urosło dziecię i błogosławił mu Pan.

Księgi Sędziów roz. XIII.

SCENA I.

Namiot pasterski — w głębi odsłonięty widok krajobrazu. Po bokach siedzą rzędem służebnice zajęte to skubaniem wełny, to szyciem — między niemi Lami. Na przodzie Salfonia przędzie. Przedwieczór.

SALFONIA.

Lami! pójdź bliżej — patrząc w twoje oczy
Przędza mej myśli w srebrną nić się stroi,
I z tobą szczęście w moje serce kroczy,
Bo mi się zdaje — że to córka stoi.
A nie mam dziecka, coby w każdej porze
Śmiało się ze mną lub cierpiało społem,
A kiedy tęskne nadejdzie wieczorze
Lało mi w duszę światłość jasnem czołem,
I zawsze mową pieszczoną i gładką
Jak złotą struną brząkałoby: Matko!

LAMI.

A syn twój, syn twój —?

SALFONIA.

O! syn co innego!
Jemu do życia namiot nie wystarczy,
Jemu za mało głosu matczynego,
Matczynych pieszczot i matczynej tarczy.
On nie potrafi śnić cichym pokojem,
On mąż, — stworzony do czynu, do znoju,
W życie jak w obóz broniony, przebojem
Pójdzie — zwycięży, albo legnie w boju.

LAMI.

To dziękuj matko! to dziękuj Jehowie,
Że ci dał syna, co w olbrzyma rośnie,
Że ci zostawił oczy w starej głowie,
Któremi witać możesz go radośnie.
Bo syn twój może w tej walce się wsławić
I wyjść z niej gwiazdą dla swego narodu,
A wtedy matko! będziesz błogosławić
Tęsknotom serca z błahego powodu;
On takiem szczęściem ciebie uposaży,
O jakiem żadna niewiasta nie marzy.

SALFONIA.

O! grzesznam wielce — szemrzę przeciw temu,
Co mi pochodnią jest na stare lata —
I gniewam dziecku, dziecku jedynemu,
Że wyżej leci, niż ma myśl ulata;
Chciałam na własne zachować uściski
Puhar pieniący tysiąców wesela,
I chciałam wtłoczyć pod domu strop niski
Głowę olbrzyma....

LAMI (*z mocą*).

Zbawcę Izraela!

SALFONIA (*zatrwożona*).

Co mówisz Lami?

LAMI.

Wiedz o tem Salfonio....

SALFONIA.

Zaczekaj chwilę — (*do służebnic*)
Wnet trzodę przygonią —
Rzućcie robotę a odbierzcie trzodę;
Lea i Michol pod Sarai bramę
Pójdą do źródła i przyniosą wodę —
Spieszcie się córki!

(*służebnice odchodzą*)

Ha! jesteśmy same —
Zbawca — i Samson? Lami! kto ci mówił?
Czy wiesz, że gdyby kto te słowa złowił
I włożył w czujne ucho Filistyna,
Jużbym żywego nie ujrzała syna.
Czy ty wiesz Lami, że przez lat czterdzieści,
Od kiedy naród przed Jehową zbłądził,
Nie było męża, coby wrogów sądził —
A oto nagle rozchodzą się wieści,
Że nowy sędzia śród ludu powstanie —
Oh, to strach wielki padł na Filistynów!
Jeźli którego zdybią z naszych synów
Różnym pozorem zdłużają spotkanie,
Witają, kuszą, a wzrok ich jastrzębi
Szpieguje ruchy, bada młode czoła
Czy na powierzchnię gniewu nie wywoła,

I co zobaczy w otwartej ócz głębi:
Zemstę tygrysa, czy spokój gołębi.
Dotąd mój Samson jasną miał źrenicę
Choć ją wróg badał chytrze i obleśnie —
A ty zkąd Lami znasz jej tajemnicę?
Kto ci ją mówił? powiedz....

LAMI.

Anioł we śnie!

(Po chwili, smutnie)

Salfonio, kiedy wglądam w twoją trwogę,
I w tę nieufność, co jest matek bronią,
Biedne me serce ściska się boleśnie —
O! bo ja matko, ciebie pojąć mogę:
Ja miałam matkę!
Słuchaj mnie Salfonio,
Ty wiesz kto jestem: zwykła służebnica!
Nic swego nie mam, nic na całym świecie —
Z jałmużny daje mi wodę krynica,
Przez litość tylko pachnie dla mnie kwiecie.
Bóg w swej mądrości wiedział co dać komu;
Innym z pogardą on pod stopę rzucił
Złoto i władzę i rozkosz bez sromu —
Ale też od nich oblicze odwrócił
I rzekł im: Idźcie — dla was dałem dosyć!
A mnie, co nie mam ni matki, ni domu,
Co nic nie mając, o nic nie śmiem prosić,
O! On mnie kazał aniołom piastować,
Rosą nakarmiać, na ich skrzydłach nosić,
By na widzenia duszę przygotować.
Toż nie raz senną gdy mnie noc otoczy
Anioł nademną zawiesza swe oczy,
Biały, jak lilja nad wodą chwiejąca,

On się przegląda w mej duszy przezroczu:
Usypiam — potem widzę czuwająca,
Jeszcze w męm łonie odblask jego oczu.
We dnie jam cicha, pokorna, cierpiąca —
Dzień każdy muszę zapracować łzami
Aby zapłatę w noc odebrać snami.
Wtedy się staję Pańską powiernicą!
Gdy rzucę myśli o moim narodzie,
To się zwiększają jak kręgi na wodzie.
A jego dzieje tak mi jasno świécą!
Co tylko styczność ma mieć z moim ludem
Na me zaklęcie odsłania się cudem;
Tajne wyrocznie zdejmują zasłonę
I stają nagle widne, niestrzeżone;
I jakie losy dłoń Jehowy waży
Dla tego ludu co zastyga w trumnie,
Wszystko mi znane, — i wszystko to u mnie
Wnet się odbija w sercu i na twarzy.
O! to wiesz teraz zkąd, jak zapewniona
Zbawcą narodu nazwałam Samsona,
Jak tajemnicę, której nikt nie wiedział
Prócz Boga w górze, — anioł mi powiedział!

SALFONIA.

Prócz Boga w górze i prócz mnie, o Lami!
I ze mną anioł rozmawiał — nie snami,
Ale w dzień biały, nim syn się narodził,
Dwakróć z tą wieścią z nieba do mnie schodził.

(Bebraim pokazuje się w głębi i niewidziany staje przy wchodzie.)

Ja i Manue wyszliśmy na pole
A w tem nas światłość niezmierna otoczy,
A w niej się tęczy mieniło półkole.
I gdyśmy trwożni otworzyli oczy,

On stał przed nami i rzekł: Takie słowa
Przez moje usta mówi wam Jehowa —
Słuchaj niewiasto! oto zrodzisz syna,
A syn twój będzie Nazarejczyk boży,
Strzeż, by nie dotknął sycery ni wina,
Strzeż, by na życiu nie miał cienia zmazy,
Bo mu się serce zmiękczy i zatrwoży
Gdy czas nadejdzie Izraela zbawić
I Filistynów wojować i dławić.
Milczcie do czasu!

BEBRAIM

(szydząc na stronie).

Jak spełnia rozkazy!

SALFONIA.

A my oboje na oblicze padli —
A gdyśmy potem Bogu w dziękczynieniu
Na stos płonący ofiarę pokładli:
Anioł uleciał w płomieniu!

O! jakże byłam mojem szczęściem dumna,
Gdy syn się zrodził, co pod mojem okiem
Rósł jak pod ręką rzeźbiarza kolumna;
O! jak po świecie, po niebie szerokiem,
Pragnęłam jego nadejście obwołać.
Nieraz, gdy widzę, jak zwalczone losem
Izraelitki z rozpuszczonym włosem
Siedzą przy drogach i płaczą żałośnie —
Zrywam się, aby w głos do nich zawołać:
Bądźcie cierpliwe! patrzcie, syn mój rośnie! —
Musiałam milczeć — i Ty milcz, na Boga!
Bo go zabiją!

BEBRAIM *(na stronie).*

Za późna przestroga!
Dziś się dowiedzą....

SALFONIA.

Co ci jest? — mów Lami,
Tyś drżąca....

LAMI.

Szczęście dla nieszczęśliwego
Może być chyba poprzednikiem gromu.
(Rzuca się na szyję Salfonii.)
O matko, gdyby można mówić łzami!...

SALFONIA.

O córko moja!

SCENA II.

BEBRAIM *(zbliża się).*

Żono Manuego....

LAMI.

(rzuciła się — patrzy chwilę w' oczy Bebraima — nagle krzyknąwszy ucieka w kąt i drżąc wyjąknęła:)

Bebraim!!

BEBRAIM.

Pana czy zastałem w domu?

SALFONIA.

Dotąd nie wrócił ze swojej winnicy.

BEBRAIM.

Mogę zaczekać.
(Na stronie, patrząc ukosem na Lami)
Więc nie omylono,
Lami jest tutaj — znalazłem ją przecie.

LAMI *(drżąc — cicho).*

Bebraim!

BEBRAIM.

Pozwól Manuego żono
Zaczerpać wody u twojej krynicy
Dla mych wielbłądów, — pod twoim namiotem
Niech przewiew wiatru kurz z moich szat zmiecie;
Jestem zmęczony trudami podróży —
Przez wasze puszcze biegłem strusia lotem
Do Manuego zdążając w potrzebie.

SALFONIA.

Mój gościu! głos twój niech za rozkaz służy —
Błogosławieństwo wchodzi z gościem w progi;
Świeżemi szaty chciej obleczeć siebie,
Ja sama z kurzu obmyję ci nogi.

BEBRAIM.

Dzięki wam, dzięki za gościnne chęci,
Lecz dalszą podróż mając na pamięci,
Chociaż niechętnie, wasz namiot opuszczę
I wasze serca otwarte porzucę,
I znów wielbłąda zepchnąwszy na puszczę
Wrócę do domu.... lecz nie sam powrócę.

LAMI *(cicho).*

O Boże!

SALFONIA.

Wyście zapewne zdaleka?

BEBRAIM.

Przed Gazą mieszkam, a tam Eskol rzeka
Winnice moje jak w objęciu trzyma,
I moje pola, co nie mierzyć okiem,

Długo odbija zwierciadłem szerokiem —
A z pokolenia jestem Neftalima;
Chcąc przyjść z pomocą ubogiemu bratu
Byłem u niego i jadę z Tamnatu.

SALFONIA.

Gościu, mój gościu! byliście w Tamnacie?

BEBRAIM.

Czy może kogo tam z pokrewnych macie?

SALFONIA.

O! i najbliższy — bo tam syn mój młody
Przy dźwięku cytry odprawia swe gody,
Gody weselne; tydzień minął wczora
Gdy odszedł z domu — a Manue w gniewie
Nic nie chce wiedzieć i nic o nim nie wie.
Syn na weselu — a mnie płakać pora!

BEBRAIM.

Czy syn wziął żonę nie po waszej woli?

SALFONIA.

Gdybyż ukochał którą z naszych córek,
Co mu siostrami są w ciężkiej niewoli,
Co wybiegają na grobów pagórek
Aby go ubrać kwiatami jasnemi,
Aby usłyszyć głos ojców zpod ziemi —!
Choć one wkrótce powiędną żałobne
Jako ich kwiaty sadzone nagrobne,
Chociaż z ich oczu za często łza cicha
Spływa jak piołun do uciech kielicha,
Choć one stoją jak widma boleści
Nawet przy stopniach małżeńskiego łoża:
Zato ich łono jako arka boża

W świętym i czystym przybytku swym mieści
Wszystkie pamiątki narodowej cześci;
Zato z ich piersi syn z mlekiem wysysa
Miłość dla kraju, nienawiść dla wroga;
Ręka, co do snu niemowlę kołysa
Wskaże mu drogę wiodącą do Boga.

LAMI (*wyciągając ręce*).

Matko!

SALFONIA.

A syn mój upodobał sobie
Rozkoszną córkę wroga Filistyna —
Ta pewnie kwiatów nie sadzi na grobie
Ale je w czarne warkocze upina,
Codzień godową szatą się osłania,
A w nocy bogom fałszywym się kłania —
Jakichże ona może zrodzić synów?

BEBRAIM.

To nielubicie naszych Filistynów?

SALFONIA (*surowo*).

Izraelito! Ty mnie pytasz o to?

BEBRAIM.

Niech wam to siostro, nie będzie dziwotą —
Właśnie myślałem, że jednemu z braci,
Który w tej chwili może gardło traci,
Lub na żelazie smaży się czerwonem,
Lepiejby było dla zmniejszenia kaźni
Z Filistynami być trochę w przyjaźni.
Ten nieszczęśliwy zowie się Samsonem.

(*Lami drgnęła, podała się — lecz głos jej zamarł.*)

SALFONIA.

To syn mój!

BEBRAIM.

Niewiem, — z pokolenia Danu —

SALFONIA.

To syn mój!

BEBRAIM.

Niewiem, — poświęcony Panu —

SALFONIA.

To syn mój, syn mój!!

BEBRAIM.

Niewiasto! ja niewiem —

SALFONIA.

Lecz ty po sercu chodzisz mi zarzewiem —
Powiedz! czyś ty się sprzedał Filistynom?

BEBRAIM.

Izraelitko! ty mnie pytasz o to?

SALFONIA.

Ale ja matka! ja matka! — miej litość,
Powiedz jak było — jakim popadł winom —
Czy żyje jeszcze?!

BEBRAIM.

Z największą ochotą;
Powieść ta mieści pewną rozmaitość,
Którą ja lubię. — W Tamnat na weselu,
Gdzie się zebrało Filistynów wielu,
Niejaki Samson z pokolenia Danu
Wymyślał gadkę — pewnie po pijanu —
I poszedł w zakład, że kto ją rozwiąże,

Trzydzieści sukien mieć będzie — jak książe!
Z całego miasta mędrcy się gromadzą
Po nocach nie śpią a nad gadką radzą —
Czas oznaczony uchodzi i mija,
A z długich obrad, z głośnego hałasu
Żadna myśl jasna im się nie wywija;
Tymczasem Samson przy swej młodej żonie
Szalał od śmiechu i używał wczasu.
Widząc Filistyn, że sam w bredniach tonie
Głębiej a głębiej — padł na wybieg nowy —
Skrycie do żony poszedł Samsonowej
I wymógł na niej, że podchlebstwem węża
Znaczenie gadki wymodli u męża.
I tak się stało — przy miłośnym trunku
Samson wymówił słowo w pocałunku;
I wnet Filistyn pochwycił to słowo,
I rano gadki znaczenie ogłosił,
I o trzydzieści szat wygranych prosił.
Samson ich nie miał — lecz nadrobił głową,
Może się tajnie naradził z Jehową,
Wybiegł za miasto, a przy Askalonie
Trzydziestu mężów zdybał na zagonie.

SALFONIA.

Mów prędzej, prędzej —

BEBRAIM.

Wkrótce Samson wrócił
I szat trzydzieści Filistynom rzucił.
Dług był spłacony! — ale na nieszczęście,
Na szatach danych przez waszego syna
Były czerwone plamy — a nie z wina!
I takie znaki, jakie wściekłe pięście

Zostawić mogą w rozpaczliwej walce,
Lub ząb, co w bólu rękawy potarga,
Aby mógł ugryść odsłonione palce.
Z tych plam i znaków biła głośna skarga!

Czy dotąd jeszcze za Samsonem śledzą,
Czy już gdzie uległ zasłużonej karze,
A czułe wilki płaczą nad nim w jarze —
Niewiem; w Tamnacie o tem tylko wiedzą,
Że on trzydziestu Filistynów zabił,
Ciała dał krukom — a szaty zagrabił.

(po chwili)

Trzydziestu mężów zabił więc dla gadki —
Pewnie ten dowcip wyssał z mlekiem matki!

SALFONIA.

Synu mój, synu! tobie marnie ginąć
Z głupiej swawoli, z młodej krwi zapędu,
Tobie się z wielkiem przeznaczeniem minąć,
A paść na drogę szaleństwa i błędu —
O! gdyby można w łzach się rozpłynąć!
Synu mój, synu!

LAMI.

Matko, matko, stój!
Nie bluźń, nie sarkaj, Jehowy się bój!
Drogą przeznaczeń już poszedł twój syn,
Jego ramieniem włada boży gniew,
A namaszczeniem był pierwszy ten czyn —
Czas sądu nadszedł — niechaj płynie krew!

SALFONIA *(płacząc)*.

Synu mój, synu!

LAMI.

Matko! uśmierz ból!
Niechaj ten człowiek nie raduje się —
Na twoją ranę on dorzuca sól,
Patrz w uśmiech jego — matko! słuchaj mnie,
Wiesz, kto on jest?

(Bebraim przystąpił i popatrzył jej w oczy — Lami zakrywa twarz i cicho wymawia:)

Bebraim!!

SCENA III.

MANUE.

(wchodzi głównem wejściem, na progu obrócił się i woła do głębi)

Jezaja!
Eljab gdy z Judą muły ponapaja
To w błoń je puścić samopas, ku łozom,
Sami stróżujcie winogradu wozom.
A! a! ogniami obłożyć pastwisko —
Gdzie zdobycz łatwa, szakal zawsze blisko.

BEBRAIM *(do wchodzącego).*

Z Gazy przybyłem Manue do ciebie,
Przybyłem pilno, bo w pilnej potrzebie;
W namiot przyjęła mnie twoja niewiasta.
Jak piasek w morzu, jak gwiazdy na niebie,
Jak liść na cedrze niech ród twój porasta.

MANUE.

Witaj mi gościu! błogosławię chęci,
Która cię chyżo w mój namiot zawiodła;
Gość dla mnie szczęściem — toż z mojego progu
Nocleżny pielgrzym gdy odjeżdża w Bogu
Błogosławieństwo rzuca na mnie z siodła;
Prawa przychodnia niech Izrael święci,
Bo sam przychodniem był w egipskiej ziemi.

SALFONIA.

Panie! posłuchaj....

MANUE.

Tyś tutaj w tej porze?
Czas, byś uczciła śpiewy wieczornemi
Jehowę — słońce za góry ucieka.

SALFONIA.

Panie! nasz Samson — błagam cię w pokorze —
Słońce zaczeka....

MANUE.

Ale Bóg nie czeka!
Idź!

(Salfonia skłania się i odchodzi wraz z Lami przez boczną zasłonę. Manue do siebie, dumając.)

Matki! matki! ciągle się kłopocą
Nad dziećmi swemi — i co długą nocą
Sen o nich baje, o tem we dnie marzą —
Według snu tego cieszą się lub skarżą.

(Do Bebraima).

Daruj mój gościu, że cię tak zostawiam,
A sam się memi myślami zabawiam,
Usiądźże, proszę, — musisz być strudzony.

(Siadają).

Z Gazy przybywasz — to kraj oddalony;
Puszczą trza jechać i oddychać pyłem;
Gdy byłem młodszym, nieraz tam jeździłem.

BEBRAIM.

Puszczą trza jechać, lecz gdy Eskol zbrodzisz
Pod inne niebo, w inną ziemię wchodzisz:
Zapach winnicy w koło cię obleci,
Palma osłoni i granat zaświeci,

A w środku Gaza jak baczna niewiasta
Białemi mury od ziemi wyrasta,
I na pasterskie pogląda namioty,
Co się po łące rozbiegły jak dzieci.

MANUE.

Znałem ja Gazę, znałem kraj jej złoty,
I nieraz o niej marzę gdy zadrzymię.

BEBRAIM.

Dziś kto zna Gazę — pozna jedno imię;
Gaza ma wielki głos o Bebraimie,
Który gdy w paszę puści owiec trzody,
To się bieleją jako morza wody;
A kiedy w miasto chce wjechać wspaniale
Na sto rumakach stu służebnych sadza;
W mieście ma domy, w nich przepyszne sale,
A świeżą mirrą codzień je okadza.
Jam jest Bebraim!

MANUE.

A jam jest Manue —
Nie mam trzód wielkich, ni sal mirrą wonnych,
Ni stu służebnych, ni zamków obronnych,
Ale mam syna, co jako Jozue
Mógłby zawalić nie jedno Jericho;
Ale mam żonę pobożną i cichą;
Ale z jednego zemną wyszedł rodu
Jefte,on straszny miłośnik narodu,
Co własne dziecko oderwał od siebie
I pod miecz rzucił na ofiarowanie;
Ten miecz Jeftego ma u mnie schowanie —
Przyznaj, że jestem bogatszy od ciebie.

BEBRAIM.

Jeszcześ nie wszystkie wymienił bogactwa —
Masz niewolnicę — a wcale nieszpetną,
Przytem masz duszę prawą i szlachetną,
Którą występku nie gryzą robactwa.

MANUE.

Jak to rozumiesz?

BEBRAIM.

Gdyby ci powinność
Kazała oddać to co nie jest twojem,
Na przykład: Lami, tę młodą niewinność —
Walczyłbyś może z sobą długim bojem,
Ale poszedłbyś za Jeftą, twym przodkiem,
Drogą poświęceń — by nie być wyrodkiem.

MANUE.

Widziałeś kiedy pączek aloesu?
Długo się zwija nim kwiatem wystrzeli,
I mowa twoja tak pełna okresu
Że się plątając na sto listków dzieli —
Ale różnica jasna leży na tem,
Że chcesz piorunem wystrzelić — nie kwiatem!

BEBRAIM *(wstaje)*.

A więc z słów moich zrobię błyskawicę!
Słuchaj Manue, ty masz niewolnicę,
A zwie się Lami, — przed kilkoma laty
Zbiegła odemnie i poszła za światy;
Tu ją znalazłem, — za moją własnością
Przybyłem zbrojny praw świętych godnością.
Czy mi ją oddasz potomku Jeftego?

MANUE.

Manue dzierzyć nic nie chce cudzego!
Choćby to cudze wrosło mu do serca,
Serce rozkrwawi, odda co nie swoje —
Bo nikt na niego nie rzekł: przeniewierca!

(podniósł boczną zasłonę namiotu i woła:)

Lami!

BEBRAIM *(do siebie)*

Wygrałem!

MANUE.
(do siebie, zadumany)

Biédne dziécie moje....

SCENA IV.

(Wchodzi Lami śmiało i poważnie.)

MANUE.

Lami, czy znałaś, — znasz człowieka tego?

LAMI *(dobitnie)*.

O! — znam —

MANUE.

Czy jesteś niewolnicą jego?

LAMI.

Byłam!

MANUE.

Czyś później od niego uciekła?

LAMI.

Uciekłam —

MANUE *(smutno)*.

Toś Lami swój wyrok wyrzekła!

BEBRAIM.

Więc mi ją oddasz?

MANUE.

Słuchaj Bebraimie!
Wszystkie me trzody wraz z moim namiotem
Przedam za złoto, obrzucę cię złotem,
Tylko mi zostaw ją, i dobre imię.

BEBRAIM.

Biedny człowiecze! ubogim być musisz
Kiedy mnie złotem zawabiasz i kusisz —
Jabym pół mego życia dał z ochotą,
Gdybym mógł wiedzieć, gdzie rozrzucać złoto!

MANUE.

Zostaw ją! tobie ta ofiara łatwa —
Zachcesz i skiniesz, i dziewic tysiące
Rosą ci spadnie na piersi gorące;
A nam to życie bez niej się zagmatwa,
I przejdzie smutne, podobne do jazdy
Po błędnej puszczy — bez kwiatu, bez gwiazdy.
Zostaw ją, zostaw! — ona nam przyniosła,
Światło i piękność, ona jak słup wrosła
Do naszej strzechy — gdybyś ją odsunął,
Na nasze głowy ten namiotby runął.
Zostaw ją! ona jest nam harfą dźwięczną,
A my stroimy życie do jej dźwięku:
Jeśli ją chwycisz w obcą dłoń niezręczną,
Głosu nie wyda i pęknie ci w ręku.

BEBRAIM.

Ładne to słowa i pokora rzadka,
Wierz mi, za córką tak nie mówi matka,
Ale na próżno błagasz —

MANUE.

Ja nie błagam!
Ja ci do czynu dobrego pomagam!
Słowem jak ostrzem chcę się dobić serca,
Którego nie masz — któż ty? — tyś nie człowiek!

LAMI.

(z największą mocą).
To odszczepieniec! to wróg! to morderca!

BEBRAIM.

(przyskoczył, chwycił ją za rękę i dziko patrzy jej w oczy.)
Przeklęta!!

LAMI.

Patrzaj! — ja nie zmrużę powiek —
Choć ci ta żyła czarną krwią nabiegła,
Ja się nie strwożę — a wiesz zkąd ta siła?
Jam się modliła!
Jam twarzą w prochu tam na grobach legła:
Łąka się mgliła — słońce dogasało,
Spokojnem szczęściem brzmiała ziemia boża,
A mnie się serce po kawałku rwało,
Głos zaumierał, i martwa leżałam
Jako zwalony posąg u rozdroża.
Lecz później, kiedy z Bogiem rozmawiałam,
I ból i trwoga uciekły odemnie —
(Odtrącając Bebraima.)
Nie łam mi ręki — straszysz mnie daremnie!

BEBRAIM.

Ona szaleje!

MANUE.

Mów, odetchnij duszą.

LAMI.

Powiem — odetchnę.
Ojciec mój, ubogi
Kowacz żelaza, zabrany przez wrogi
Umarł w ich służbie klnąc im do ostatka.
W pobliżu Gazy chowała mnie matka.
Mówią, że kwitłam jako róża polna,
Niewiem, czy wonna — wiem, że byłam wolna!
Ten wąż, z opieką nad nami się krzątał,
We filistyński dług matkę zaplątał,
Aż w końcu obie, z słonecznego smugu,
Wziął na niewolę — jak dwa sprzęty w długu!
Potwór ten straszny, ze sercem hyenny,
Zapłonął ku mnie ogniami Gehenny —
Sąż na to słowa? znajdęż je w mem łonie? —
Nocą, gdy niebo błyskawicą płonie,
On sam jak piorun dyszący wpadł do mnie —
Zrywam się ze snu, wołam nieprzytomnie —
Przybiegła matka ku mojej obronie;
Była jak lwica, gdy skoczy z ukrycia,
Broniąca więcej niźli dziecka życia.
Parła go ku drzwiom, mnie słoniła ciałem —
W tem krzyk: Ja ginę! ty uciekaj w Bogu! —
Błysnęło — oczy zwróciłem na progu:
W jego ręku nóż! — On matkę mordował!
Matkę zamordował!!

(zakrywa twarz.)

BEBRAIM.

Dosyć!

LAMI.

Nie dosyć!
Schnijcie łzy moje — gdy mam zgrozę głosić!
On cudze bogi w domu swoim chował,

A Izraela plugawił świątynie;
On pełen zdrady, łupieztwa i brudu,
On Filistynom służy, katom ludu,
I ma swą rękę wszędzie gdzie łza płynie.
Czy ty mnie możesz w takie oddać ręce? —
Krwi mojej matki zdobione szkarłatem
Mająż mną jeszcze bawić się — jak kwiatem?!
Przebacz goryczy — ja mam serce w męce,
I jakąś dziką skarzę się rozpaczą —
Ale ty czujesz, że te słowa płaczą.

MANUE.

Człowieku sinych warg i bladych oczu,
Wyjdź z mego domu nim mój syn powróci;
Od swych przyjaciół jesteś na uboczu —
On się na ciebie jak młody lew rzuci.

LAMI

(z krzykiem pada do nóg Manuego.)

Tom ocalona, panie!?

BEBRAIM.

Więc jej nie dasz?

MANUE

(podnosi Lami i tuli ją w objęciu.)

Oto moja odpowiedź.

BEBRAIM.

Syn pod topór!
To w dym! Ty z żoną w niewolę na sprzedaż!

(wychodzi.)

SCENA V.

LAMI.

Panie!

MANUE *(do siebie).*

Co lepsze — ucieczka czy opór —?
Jedno i drugie trza mieć w pogotowiu.

LAMI.

Samson twój wróci — nie trwoż się daremnie.

MANUE.

Jest Bóg! kto z Bogiem, liczny na pustkowiu.
(idzie na próg i klaska w dłonie).

LAMI *(w zachwyceniu).*

Samson już wraca! zbliża się — tu — we mnie!
Idzie, idzie w potędze — lica ma promienne!
Wstaje jak słońce wielkie! nikną widma senne.
(Wchodzi Jezaja z lampą.)

MANUE.

Po wszystkich drogach postaw czujne straże,
Aby znak dały, gdy się co ukaże,
Pojucz wielbłądy i oślice skore,
Żywności nabierz — to uczyń najpierwej.

JEZAJA.

Wyrzekłeś: Stań się.

MANUE.

A potem bez przerwy
Do lasu pójdziesz — pamiętasz tę norę,
Gdzieśmy ukryli wojenne narzędzie,
Gdy je Filistyn zagrabiał —?

JEZAJA.

Grom na nich!

MANUE.

Są tam dwa drągi żelazne, nie tanich
Pięć mieczy — tu je przyniesiesz.

JEZAJA.

Tak będzie.

MANUE.

Zapal mi świecznik, daj księgę zakonu:
Modlitwa radzi.

(Czyni to Jezaja i wychodzi; Manue staje przed księgą i modli się.)

LAMI.

W borach Giebbetonu
Grzmi jego chód — po skałach lwy samotne płoszy;
Teraz — wbiegł na dolinę: ziemia drzy w rozkoszy,
Ścieli mu się pod nogi jak płaszcz — w cześć rzucony,
Dalsza, w pagórki skacze, by go widzić lepiej —
Kwiat wzdycha uśmiechnięty, las bije pokłony,
Góry chwalą! — a niebo tak nad nim się sklepi,
Jak Boga dłoń — ochronna i błogosławiąca!

MANUE *(czyta z księgi)*.

«I mówił Pan: gdziem cię postawił trwaj trwaniem —
Warownią'm ci, gdy wierzysz w moją moc."

LAMI.

Biegnie — stanął — znów biegnie! bliżej, bliżej, bliżej!
Oczy rwą się naprzeciw — serce bije chyżej,
Wszystką swoją krew rzuca mi na twarz —
Ciepła i wonna fala o me plecy trąca:
To oddech jego!!

(Zwraca się nagle.)

SCENA VI.

(Wbiegają Salfonia i Samson trzymając się za ręce.)

SALFONIA.

Manue! Syn nasz!

SAMSON

(w lwiej skórze na barkach — szybki, rozbujały).

Rozdarłem lwa!!
Czy słyszysz ojcze? i ty słuchaj Lami —

Na wązkiej ścieżce, pomiędzy skałami,
Rozdarłem lwa!
Lew był potężny a głodem wychudły,
Ot, taką miał skórę!

(Zrzuca ją na ziemię.)

Zaszedł mi drogę — zwichrzył swoje kudły,
Przegiął się na tył, i podniósł się w górę!...
Jako lecące na siebie głaz z głazem
Tak my skoczyli — i padliśmy razem.
Byłem na wierzchu! kolanem go zgniotłem,
Wziąłem za szczęki — i paszczę rozmiotłem! —
Za ciasne przejście było dla nas obu,
Ha-ha! nie miałem innego sposobu:
Rozdarłem lwa!

Potem poszedłem do Tamnat, do miasta....
Szkoda mówić o tem —
Że filistyńska zdradziła niewiasta —?
Cóż potem!
Sto ich przybiegnie na moje skinienie —
Lecz teraz inne wrą we mnie płomienie,
Miłośnych szeptów nie znoszę szelestu —
Mnie trzeba bitew, krwi wiele i grzmotów!
Na wielkie dziwy jam gotów! —
Do Askalonu niech kto idzie bram,
Tam moje zobaczy zręby: —
Hej! Filistynów wyciąłem trzydziestu,
Trzydziestu mężów — jak dęby!
Trzydziestu mężów — ja, sam!

(Na niebie w kilku miejscach wybuchają łuny.)

A kiedym wrócił walką rozogniony
Do Tamnat, do mojej żony —
To ona wrota przedemną zaparła
Z innym odbywszy wesele....

Bogdajby łoże ścieliła w popiele!
Bogdajby w ogniu umarła!

Rozbiegły się me liszki z wesołą nowiną,
Aby uroczystości nowożeńcom przydać;
Wnet czerwone chorągwie po polach rozwiną....

(Spostrzega łuny.)

Widać już! widać! już widać!
Już się zaczęło
Samsona dzieło;
Palą się zboża, palą się winnice,
Kraj wroga płonie!
Karmią się blaskiem tym moje źrenice —
Ciesz się Samsonie!
Ciesz się Samsonie — ciesz się Izraelu!
Niech huczą trąby, niechaj dzwonią cytry!
Ja wezmę zemstę na nieprzyjacielu —
Zginie wróg chytry!!

(Po chwili — spokojniej i wolniej.)

Ha, jak mi lekko, zdrowo i swobodnie!
Jakby ostatni ciężar z mojej duszy spadł, —
Rad jestem życiu i tej duszy rad,
Rozpieram się w nich — wygodnie!
Rozpieram się szeroko — jak w niebie, szeroko!
Orła mam oko,
Gazelli słuch!
Chód mój, to lot —
Myśli, jak grzmot —
Piorunem, woli ruch!
W odpoczywaniu mękę mam i trud —
W spełnienie idzie każda moja chęć,
W spełnieniu — cud!

(Zamyśla się.)

Co to jest ojcze?

MANUE *(wznosząc ręce).*

Święć się chwilo, święć!
To boży duch!

SALFONIA.

To boży duch!

LAMI.

To boży duch!

(Zasłona zwolna spada.)

XIV.

JEREMIASZ.

27. Bo to mówi Pan: Spustoszona będzie wszystka ziemia, wszakże przecie dokończenia nie uczynię.

Proroctwo Jeremiasza. roz. IV.

Przyszedł Chaldejczyk jak tygrys krwi chciwy
I powlókł Judzki lud do Babilonu
A Jeruzalem rozburzył i spalił.
Zamilknął prorok jak łuk bez cięciwy,
Usiadł dumając na gruzach Sionu
I jęknął czasem gdy go ból rozżalił.

I zdjął dłoń z oka i w niebo zapłakał:
«Ludu mój ludu! gdzieżeś ty się podział,
«Jakaż cię przepaść przedemną schowała?»
A nad nim orzeł libański zakrakał,
Co krwią ociekłem piórem się przeodział,
A w dzióbie kawał niósł ludzkiego ciała.

I rzekł Jeremiasz: „Gdzie źródła Hesbonu,
«Wieczorna schadzka Izraela córek,
«Kędy pląsały one jak gazele?»

I u stóp jego żałobnego tronu
Wybiegło w słońca blask dwoje jaszczurek
I wszczęło taniec w rozgrzanym popiele.

I zmartwiał prorok i dalej narzekał:
„O, Panie! w czynach swych bądź pochwalonym,
«Lecz gdzież twój kościół, gdzie kapłanów hymny?»
A szakal w gruzach świątyni zaszczekał,
I na ołtarzu usiadłszy spalonym
Zawył. Z ołtarza jeszcze szedł słup dymny.

I rzekł Jeremiasz: «Gdzież są wojownicy,
«Gdzieżeś ty królu, gdzie twoje hetmany,
«Czy i w twej piersi tkwią wrogów oszczepy?»
A w tem niedoperz z przełomu ciemnicy
Wyleciał piszcząc i tłukł się o ściany
I rwał się w pętach, jak Judzki król — ślepy!

A prorok twarzą upadłszy na ziemię
Ciałem złamany i duszą złamany
Nie chciał już Boga o nic więcej pytać.
I w swojem sercu uczuł straszne brzemię —
I zdało mu się, że wszystkie szatany
Zaczęły nad nim i śmiać się i zgrzytać.

I odstąpiła go wszelka pokora,
I krzyknął w grozie: «Tyś ojcem Jehowo!
«A własne syny wytępiłeś z szczętem!»
I spojrzał w górę. Zeschła sykomora
Z podartą korą, z potarganą głową,
Nad nim węglanym wahała się prętem.

A latorośli mnóstwo z jej korzenia
Pięło się w słońce zielono i zdrowo,
I ziemię, którą zniszczyła pożoga
Znów świeżych liści wieńcami ocienia,
I przyozdabia ją nadzieją nową —
Ujrzał to prorok i pojął myśl Boga.

XV.

SUPER FLUMINA BABYLONIS.

1. **Nad rzekami babylońskiej ziemi tameśmy siedzieli i płakali gdyśmy wspominali na Sion.**

Psalm CXXXVI.

Płyną rzeki Babilońskie, płyną, szumią w dal,
Wiatr powiewa brzeżną trzciną, nami chwieje żal,
Nad wodami my usiedli o chlebie żebraczym —
Ziemio święta! matko nasza! kiedyż cię obaczym?

Słońce płonie, cała rzeka migoce się w skrach,
Na te blaski smutnie patrzą oczy nasze w łzach,
Bo to słońce w naszej ziemi gdy wstanie poranu,
Piękniej złoci dach Sioński i szczyty Libanu.

Tu na wierzbach długowłosych śród zielonych szarf
Pokruszone wiszą struny od milczących harf;
Niechaj milczą stare harfy o strunach dziesięciu,
Niechaj nigdy w niewolnika nie zabrzmią objęciu!

Z głośnym śmiechem idą ludzie po wodę przez błoń —
«Hej harfiarze, syny wraże, z prochu wznieście skroń,

«Zawtórujcie nam pieśniami do naszej swawoli —»
Jakoż szukać wam wesela u tych, co w niewoli?

Nam tułaczom już swych dłoni na harfy nie kłaść,
Gdyby struny jak pioruny mogły na was spaść,
To słuchalibyście drżący z ustami blademi,
Jaką pieśnią grzmią harfiarze na przeklętej ziemi!

Jeruzalem! Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeźli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem —
To mnie przeklnij i zapomnij matko Jeruzalem!

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerń,
Niech ma ręka w ogniu pęka, niech krzy się jak cierń,
Niech mój język jak gadzina przyschnie do gardziela —
Jeźli zaprę twych boleści dla chwili wesela.

Edomczyku! ty, co w krzyku niemowląt i żon
Ucztowałeś i pląsałeś przy połysku łon,
Ty, coś wołał, by nam Sion spustoszyć do gruntu,
A odporne miecze nasze zwał mieczami buntu —

Pomnij w trwodze, że na drodze twych zwycięztw i chwał
Jak lew z cicha kiedy czycha, nasz Bóg będzie stał,
I coś zdziałał, toć z nadgrodą odda sądem bożem,
I co spadło na nas deszczem, spadnie na cię morzem!

Chwila jeszcze! a już będziem błogosławić tym,
Co nad grodem twym rozwieszą pożarowy dym,
Z ramion matek wyrwą śpiące dziecią̨teczek głowy
I ze zgrzytem roztrzaskają o brzeg granitowy!

XVI.

JAN CHRZCICIEL.

18. Wieleć i innych rzeczy napominając opowiadał ludowi.
Ewanielia ś. Łukasza roz. III.

Bethańska puszcza we mgłach ginie
A przed nią srebrny Jordan płynie,
I jako herold dobrych wieści
Szumi i gwarem trzcin szeleści,
I głośny hałas w kraju czyni.
Bowiem wstał prorok na pustyni,
Co niesie nowy mir narodom,
I ku Jordanu schodzi wodom,
I nim oznajmi słowa cudne
Wprzód wodą płucze ciała brudne,
Ażeby potem w czystem ciele
Mieszkał duch boży jak w kościele.
A ma on w uściech słów obfitość
Wielką, a większą w sercu litość;
Kocha co małe i ubogie,
Sam wiedzie życie twarde, srogie,
Aż wysechł kośćmi od pokuty.

Z wielbłąda szerści płaszcz osnuty,
I pas skórzany w koło biodra,
I w cieniu drzewa woda modra,
Licha szarańcza i miód leśny,
Tem płuży prorok — ptak niebiesny.

Oto pod palmą teraz stoi
A przy nim gęsty lud się roi,
Lud różnorodny: Tu poganin
Z Tyru, wdział szatę z cienkich tkanin,
Aby pokazać ludziom stepu
Próbkę towaru z swego sklepu.
Ówdzie piśmiennik na uboczu
Ukrył złośliwość błędnych oczu,
A dźwiga parę ksiąg pod pachą.
Tam rzymski żołnierz świeci blachą;
Postawa huczna, pełna brzęku,
Z tarczą u boku, z dzidą w ręku.
A wszyscy, których czcza ciekawość
Nad Jordan wiodła lub nieprawość,
Bogatszym strojem stoją widni.
Bo zresztą sami ludzie biédni,
W odartych szmatach, nadzy prawie,
Bliżej zasiedli na murawie
W dłonie ukrywszy smętne twarze.
To starce siwe, to harfiarze,
Pasterze z laską zamiast spisy,
Kobiety blade jak narcysy,
Którym za jedwab włos wystarczy,
Z dziećmi u piersi zamiast tarczy.

Stoi on prorok ogorzały
W oczach błyszczący słońcem chwały;
Wiatr mu odwiewa włos w nieładzie,

On na powietrze rękę kładzie
I wiatry cichną — słowo płynie:
«Czego wy przyszli na pustynie
Ludzie niewoli i niewiary?
Czy wy myśleli, że to stary
Eljasz powrócił na swym wozie,
I stanął cały w ogniu, w grozie?
Czy wy myśleli, żem syn boży,
Co wnet majestat swój rozłoży
I przyjdzie sądzić grzeszne,
A sprawiedliwym tak ucieszne
Przyniesie z nieba wiadomości,
Że im zamieni płacz w radości?
Równie ja z wami człowiek niski —
Wzdy przedpiorunne widzę błyski
Trochę na duchu podniesiony;
Wzdy jako obłok jam złocony
Słońcem, co idzie za mną w tropy;
I szybko kładę moje stopy,
Jak goniec co z nowiną biegnie
I ani spocznie, ani legnie,
Lecz gdzie tłum wpada, słowo krzyknie,
I nim go lud zapyta — zniknie!»

* *
*

«Czego ty stajesz mi przed oczy
Rodzie jaszczurczy, rodzie smoczy —
Pełen od ziemi czczych obłowin,
Jakich ty u mnie szukasz nowin?
Kiedy się tobie przejrzę z bliska,
To moje słowo grzmi i błyska,
I z wysokości mojej rostry
Spada na ciebie jak grot ostry.

Wszystko co ciała ciałom dają,
Ty już posiadłaś chciwa zgrajo,
Więc głową wodzisz po nad tłumem
Chełpiąc się władzą i rozumem —
Wszakże te wody, co się cedzą
Więcej od ciebie ważą, wiedzą,
Więcej u ducha łask wyproszą,
Bo więcej nieba w sobie noszą.»

«Ty, co żelazne nosisz sztaby,
Słuchaj! ja mówię, żeś ty słaby.
Ty, co oblokłeś jedwab drogi,
Słuchaj! ja mówię. żeś ubogi.
Ty, jak pergamin mędrcze trupi,
Słuchaj! ja mówię, żeś ty głupi.
Bo duch w zaklęctwie swem nie siedzi
Ani w korynckiej złotej miedzi,
Ani w purpurze, ani w księgach,
Ale on chwieje się na kręgach
Powietrznych, i tam tęskny czeka
Aż go przywoła pierś człowieka.
I trza do niego się podnosić,
Bo on się na dół nie da sprosić.
A do tej jazdy tylko zdolny
Ten, który lekki jest i wolny,
I już odrzucił te ciężarne
Ciału przytulne, a tak marne
Zarobki własne i posagi
A stanął świeży, jasny, nagi.
Bo na nic temu podróż taka,
Kto się ubóstwa wstydzi ptaka,
Kto nie wyrobi w sobie lotność
Przez smutek, skruchę i samotność.»

«Patrzcie na lud ten Panu wierny
Jaki on biedny i mizerny,
Jak on po skałach chodzi boso
A jako lilja żyje rosą.
A z jego nędzy któż wyczyta
Jaka mu szczytna przyszłość świta,
I jakie wyjdą z tego ludu
Hetmany Boga, męże cudu.
Zaprawdę gdy on się rozjęczy,
To was obejmie kręgiem tęczy,
To przez swą żałość i cierpienie
Wam nawet zjedna przebaczenie.
Gdzie jemu biegnąć, wam nie doleźć,
Wy znacie mądrość, on zna boleść —
Kto bez niej żyje śród mamideł
Staje się jako ptak bez skrzydeł.»

* *
*

«O wy maluczcy! o wy drobni!
I powołani i sposobni
Do tej ogromnej, wiecznej sprawy,
Która tu nie dla marnej sławy,
Lecz dla długości prawd łańcucha
Przez ducha dzieje się dla ducha —
Ja wiem, że wam na świecie twardo,
Że wam jałmużną lub pogardą
Płacą, a wstrętne te sesterce,
Gdy nikt nie bierze was za serce,
I sercem, co się w głos wyzwoli,
Nie pyta: Bracia! co was boli?
Źli, bo karmieni ludzką złością,
Chodzicie błędem i ciemnością,
Często wam ogień gasł niebieski;
Jesteście jako płaszcz króleski,

Co purpurowe barwy zetrze
W puszczy na słocie i na wietrze,
Lecz gdy promienie mgły rozpędzą
Gdzieniegdzie złotą świeci przędzą.»

«Czyńcie pokutę! bo już idzie,
I nie zostawi was w ohydzie,
Ten co był, (bo ja tylko jestem) —
On was ogniowym zmyje chrzestem
I nowe nada wam przymierze;
A kiedyś w połę was zabierze
Jak żniwiarz swe dojrzałe kłosy,
Do ojca pójdzie przez niebiosy,
Przed nim wysypie ze swej szaty
I was i narody i światy.» —

Zamilkł i czoło zamyślone
Posępnie zwrócił w słońca stronę;
Ono za kraniec ziemi spada
Czerwone, wielkie; gwiazd gromada
Jak złote pszczółki lecą za tem
Słońcem, jakby za pełnym kwiatem.
A gdy zapadło do połowy,
To było nakształt ściętej głowy;
Wtedy na żółtej chmurze lśni się
Jak krwawa głowa w złotej misie.
I patrzał długo człowiek święty,
Gorący w oczach i natchnięty,
Patrzał i głuche słowa szeptał,
A na Jordanie aż wydeptał
Do słońca sobie drogę jasną
Myślami, co z nim razem zgasną.

A z głębi puszczy, a z oddali,
Jak biały żagiel z mętnej fali,
Podobnie cicha, wiewna, biała,
Człowiecza postać wypływała,
Tak lekka, jakby ją anieli
Na srebrnopióre skrzydła wzięli,
I ziemią jeszcze niedotkniętą,
Znosili z niebios owiniętą
Blaskiem........

r. 1845 — 1850.

——— ——— —

